



OD REDAKCJI

Oto kolejny biuletyn WĘGA, który jak na nieregularnik ukazuje się na razie za bardzo regularnie. W tym numerze przypominamy między innymi pierwszych turystów na Baranich Rogach w Tatrach i na Piz Badile w Alpach Retyckich – na obydwu szczytach pierwsze zespoły stanęły już ponad 150 lat temu. Z dróg tatrzańskich wspominamy pierwsze zimowe przejście *drogi Kowalewskiego i Paluchy* na wschodniej ścianie Młynarczyka, uznanej kiedyś za jedną z najtrudniejszych dróg „klasycznych” (czyli bez haczenia) w Tatrach. Szerzej piszemy o Piku Lenina, ponieważ w tym roku przypada 90 rocznica zdobycia tego najczęściej odwiedzanego siedmiotysięcznika na Ziemi. W rubryce kulturalnej Marek Maluda pisze o przewodniku Carla Lohmeyera i o samym autorze tej książeczki, uważanej za pierwszy przewodnik turystyczny po Tatrach.

Niezmiennie zapraszamy do podzielenia się na stronach biuletynu swoimi wspomnieniami. Chętnie zamieścimy również wszelkie uzupełnienia prezentowanych materiałów. Wszystkie numery biuletynu WĘGA zawsze można sobie „ściągnąć” ze strony www.stapis.com.pl

Małgorzata i Jan Kielkowscy
mjkmountains@aol.com
mjkmountains@goolemail.com

RZECZY WIELKIE I MAŁE W ALPINIZMIE

Murań został zdobyty nie ponad 200, lecz ponad 300 lat temu (sprostowanie do Biuletynu 4/2018)

W tym roku minie nie ponad 200, lecz ponad 300 lat od zdobycia Murania, jak to słusznie zauważyli niektórzy czytelnicy. Niestety nie udało się dotrzeć do żadnego źródła, w którym pojawiałaby się data (w tym przypadku tylko rok, 1717) tego wejścia – może ktoś wie, skąd ona pochodzi?

Załączone do opisu tego wydarzenia zdjęcie również okazało się nietrafne, a znawcy Tatr Bielskich próbują określić, co ono właściwie przedstawia? Ustalono już, że na pewno nie jest to fragment żadnej ściany Murania. A szkoda, bo zdjęcie jest ładne. Może ktoś ma fotografię tej niewysokiej, ale niezwykle rocznicowej góry?

Jan Kielkowski

Ponad 150 lat temu zdobyto Baranie Rogi (WEGA t. III, str. 93)

Przed 17 września 1867 roku dokonano pierwszego turystycznego wejścia na Baranie Rogi. Pierwszymi turystami, którzy stanęli na tym szczycie, byli Józef Stolarczyk i Tomasz (Ambroży, Pater Ambrosius) Trausyl (Reformat) prowadzeni przez przewodników: Wojciecha Gąsienicę Kościelnego, Wojciecha Ślimaka, Szymona Tatara starszego i Jędrzeja Wałę starszego. Po drodze zaliczyli również 1. wejścia turystyczne na mniej wybitne kulminacje: Wyżni Barani Zwornik (WEGA t. III, str. 93), Baranią Karcznicę i Ramię Lodowego oraz na Śnieżną Przełęcz (WEGA t. III, str. 744). Prawdopodobna, niemniej domniemana (nie ma żadnych zapisów Stolarczyka na ten temat), droga ich wejścia prowadziła z Doliny Czarnej Jaworowej (WEGA t. III, str. 219) na przełęcz, nazwaną później Przełęczą Stolarczyka (1. wejście turystyczne; WEGA t. III, str. 723), skąd częściowo nieco trudną (I) pn.-wschodnią granią, przez Wyżni



Na zdjęciu widać pd.-zachodnią ścianę Baranich Rogów, natomiast pierwszego wejścia na szczyt dokonano z przeciwnej strony.



Józef Stolarczyk



Wojciech Ślimak



Szamon Tatar



Jędrzej Wala

Barani Zwornik na szczyt. Byłaby to oficjalna czwarta droga o trudnościach taternickich (nieco trudna) w Tatrach. W przewodniku Witolda H. Paryskiego opisana jest pod numerem 2943, u Arno Puškáša pod oznaczeniem III/19 (z trudnościami częściowo II!). Tatrolodzy nie są zgodni co do przypuszczalnej trasy zejścia ze szczytu. Na przykład A. Puškáš podaje, że schodzono trasą wejścia, a W. H. Paryski sugeruje, że przez Baranią Przełęcz (WEGA t. III, s. 92) do Doliny Pięciu Stawów Spiskich (1. przejście turystyczne). Wszyscy uczestnicy tego wejścia mają swoje biografie w tomie VI WEGA.

Warto przy tej okazji przypomnieć też najwcześniejsze powtórzenia:

2. **wejście:** 9.04.1884 Ludwik Chałubiński, Karol Potkański i przewodnicy Wojciech Roj i kilku innych;
3. **wejście:** 25.08.1888 A. Ballagi, Ōdon Téry z przewodnikiem Martinem Spitzkopfem seniorem;
4. **wejście:** 25.09.1888 Lászlo Jármy i przewodnik Jakob Horvay;
1. **wejście kobiece:** 16.07.1900 Antonina Englisch z towarzyszami;
1. **wejście zimowe:** 17.04.1911 Tibold Kregczy, Lajos Rokfalusy i Zoltán Votisky.

Jan Kielkowski

Ponad 150 lat temu zdobyto Piz Badile (WEGA t. III, str. 84)



William Augustus Coolidge



François Dévouassoud

26 września 1867 William Augustus B. Coolidge oraz przewodnicy François Dévouassoud i Henri Dévouassoud dokonali pierwszego wejścia na Piz Badile. Ich droga miała prowadzić od południa (niektóre przewodniki podają, że południową granią?), od strony włoskiej. W wydanym w 1966 roku tomie IV przewodnika po Alpach Bündnerskich nie ma swego numeru i nie jest opisana. Nie znamy też żadnych opisów tego wejścia, które mógłby pozostawić po sobie Coolidge. Prosimy o informacje lub wskazówki na ten temat. Uczestnicy tego wejścia mają swoje biografie w tomie VI WEGA.

Jan Kielkowski

Ponad 150 lat temu zdobyto Piz Badile



Południowa flanka Piz Badile z drogą pierwszego wejścia



Południowa flanka Piz Badile

90 rocznica zdobycia Piku Lenina (WEGA t. II, s. 478)

25 września 1928 roku Eugen Allwein (WEGA t. VI, str. 15), Erwin Schneider (WEGA t. VI, s. 686) i Karl Wien (WEGA t. VI, str. 812) dokonali 1. wejścia na Pik Lenina (znany wtedy jako pik Kaufman). Był to pierwszy zdobyty szczyt z pięciu radzieckich siedmiotysięczników. Alpinisci weszli na wierzchołek od południa, z lodowca Bolszoi Saukdara przez Przełęcz Krylenki (WEGA t. II, str. 450), którą zdobywcy nazwali Ostsattel (czyli siodło wschodnie), i wschodnią grań. Później rzadko wchodziło tą drogą; najpopularniejsze, technicznie łatwe „normalne drogi” prowadzą na wierzchołek od północy, „Przez Skały Lipkina” lub przez Pik Razdzielna w grani zachodniej.

To wejście było długo kwestionowane przez alpinistów radzieckich, którzy podawali dwa powody: z jednej strony twierdzili, że na tej wysokości nie można przejść w jeden dzień takiego długiego odcinka grani o deniwelacji ok. 1500 metrów; drugim powodem był fakt, że alpinisci radzieccy, którzy weszli na Pik Lenina w 1934 roku, nie zastali na wierzchołku żadnych śladów wcześniejszego pobytu. Wysuwając pierwszy zarzut, nie wzięto jednak pod uwagę, że zdobywcy mieli za sobą ponad trzymiesięczną aklimatyzację i w tym czasie weszli na szereg dziewięcioletnich sześciotysięczników. Co do drugiego, to faktycznie, Niemcy nie wynieśli na szczyt popiersia wodza rewolucji Włodzimierza Lenina, tak jak zrobili to radzieccy zdobywcy w 1934 roku. Zresztą około pół wieku po tym wydarzeniu alpinisci radzieccy własnymi przejściami udowodnili, że takie wejście jest jednak możliwe.

Lista znanych mi pierwszych 12 wejść na Pik Lenina:

- 1. wejście:** 25.09.1928 Eugen Allwein, Erwin Schneider, Karl Wien;
- 2. wejście:** 8.09.1934 Witalij M. Abałakow, N.A. Czernucha, I.J. Łukin;
- 3. wejście:** 17.08.1937 P.T. Algambrow, Lew L. Barchasz, Jewgienij A. Bieleckij, Stanisław Hanecki (1.w. polskie), B. Iskin, I.W. Martynow, Arij I. Polakow, G. Rozenweig;
- 4. wejście:** 14.08.1950 W.S. Aksenow, J.A. Izrael, A.G. Kormszczikow, A.W. Kowalew, J.D. Masłow, Eduard I. Nagel, Wiktor N. Naryszkin, Władimir A. Nikonow, Witalij K. Nozdriuchin, Władimir I. Racek, I.W. Roźnow, W.M. Zaporozczenko;
- 5. wejście:** 3.08.1954 P. Karpow, Walentin A. Kowalew, Eduard I. Nagel, Wiktor N. Naryszkin, Witalij K. Nozdriuchin;
- 6. wejście:** 21.08.1955 Boris D. Dmitriew, A.S. Gozew, Jewgienij I. Iwanow, Anatolij I. Kowyrkow, Kirił K. Kuźmin, Piotr K. Skorobogatow, Aleksiej S. Ugarow;
- 7. i 8. wejście:** 1956 alpinisci radzieccy;
- 9. wejście:** 1958 alpinisci radzieccy;
- 10. wejście:** 1960 alpinisci gruzińscy;
- 11. wejście:** 08.1960 Witalij M. Abałakow, Nikołaj A. Gusak, Gienadij J. Iliński, D. Kachiani, Konstantin B. Klecko, M. Timoszin;
- 12. wejście:** 15.08.1960 Oleg W. Abałakow, Gierman L. Agranowski, Jakow G. Arkin, Jasjen W. Diaczenko, A. Fiedorow, Lew N. Filimonow, Josif G. Kachiani, Władimir A. Kiziel;
- 1. wejście kobiece:** 28.07.1965 Marta Maly z Czechosłowacji z towarzyszymi;
- 1. wejście zimowe:** 31.01.1988 Siergiej A. Arsientiew, Władimir S. Bałybierdin; Walerij N. Chriszczaty, Wiktor U. Dedi, Jurij M. Moisiejew, I. Tułajew.

Obecnie Pik Lenina jest najczęściej odwiedzanym siedmiotysięcznikiem na Ziemi. Niektórzy z wymienionych tutaj alpinistów mają swoje biogramy w WEGA; do haseł innych, którzy z pewnością powinni się też tam znaleźć (np. Czernuchy czy Łukina), brak nam danych zarówno osobowych, jak i dotyczących ich górskich dokonań.

Zamieszczone dalej strony z rocznika 1929 „Zeitschrift des Deutschen und Österreichischen Alpen-Vereins” zawierają szczegółowy opis tego wejścia.



Eugen Allwein



Erwin Schneider

geriffen. Noch einen Tag später kam die russische Abteilung und Bierjad, so daß, als nun auch noch Rickmers und Reinig mit Schtscherbakoff vom Tachta-Korum und Raindi herabgekommen waren, die ganze Expedition in Altin Masar versammelt war.

Pik Lenin

Von R. Wien

Nach den bisherigen Berechnungen aller fachkundigen russischen und deutschen Expeditionsteilnehmer sollte der höchste Berg des Russischen Reiches nicht im Seltau liegen, sondern der 7130 m hohe Berg im Transalai sein, der bisher Pik Kaufmann hieß und jetzt Pik Lenin genannt worden war. Ihn zu ersteigen war eine unserer vornehmsten Aufgaben.

Unser Vorstoß im Juli aus dem Südosten, vom Kara-Kul, war noch ziemlich weitab von ihm zum Stehen gekommen. Ein gütiges Geschick hatte uns vor einem ernsthaften Angriff bewahrt, wir hätten den Berg von dort nicht erreichen können, was wir allerdings erst am Tage vor seiner Besteigung zweifelsfrei erkannten. Ob von Südwesten her, von Altin Masar, die Aussichten besser waren? Auch hier trennen uns 70 km Luftlinie von unserem Ziel, 70 km eines Gewirrs von Bergen und Tälern; auch hier wußten wir nichts über die Anstiegsmöglichkeiten auf den Berg selbst, die erst dann in den Bereich unserer Erwägungen einbezogen werden konnten, wenn wir uns bis zu seinem Fuße vorgearbeitet hatten. Die Schwierigkeiten der Auffindung eines Anmarschweges paaren sich mit denen der Besteigung, wenn man im unbekanntem Land gleichzeitig mit den ersten geographischen Aufklärungsarbeiten hohe Berge dieser Art besteigen will.

Aber trotzdem glaubten wir zuversichtlich, diesmal mehr Erfolg zu haben. Denn wir hatten ja von den „Grandes Jorasses“ am Kara-Dschilga-Tal einen großen Gletscher entdeckt, der im Hauptkamm des Transalai zwischen den beiden als höchste in Frage kommenden Gipfeln P. 2 und P. 3 seinen Anfang nimmt, zunächst rein nach Süden fließt, sich dann mit einem anderen, ebenfalls sehr großen, von Süden kommenden Gletscher vereinigt, einen scharfen Bogen nach Westen macht und wahrscheinlich durch das Sauk-Sai-Tal entwässert. Dieses mündet seinerseits unweit von Altin Masar.

Der Gipfel des Pik Lenin ist 7130 m hoch. Es ist das eine Höhe, die weit unterhalb von dem liegt, was im Karakorum und im Himalaja, insbesondere am Mount Everest, erreicht worden ist. Nichtsdestoweniger ist der Luftdruck dort schon erheblich geringer als die Hälfte einer Atmosphäre. Wir hatten uns seit mehr als 2 Monaten langsam an Anstrengungen in immer größeren Höhen gewöhnt, ferner an kalte Hochlager endloser Gletschermärsche und an die Kälte überhaupt, so daß wir in diesem Punkte unserer selbst sicher waren, so weit man überhaupt seiner körperlichen Leistungsfähigkeit sicher sein kann, die ja auch noch von manchen anderen, nicht zu erfassenden Faktoren abhängig ist. Wohl sahen wir die ersten Anzeichen des Herbstes, den vielen Neuschnee, der weit herunterreichte in den Nordwänden des Sandal und Musdchilga; wohl waren wir uns bewußt, daß es hohe Zeit war, wollten wir auf den eisigen Höhen noch etwas ausrichten; aber trotzdem waren wir später überrascht über die Schwierigkeiten, die uns droben durch die maßlose Kälte bereitet wurden. Daß wir letzten Endes doch unser Ziel erreicht haben, verdanken wir eben einer gewissen Härte, die sich ganz allgemein auf das Ertragen von Strapazen richtete.

In Altin Masar, dieser seltsamen Oase inmitten der Steinwüste des Muk-su, begannen wir nun Mitte September für den entscheidenden Schlag zu rüsten. Vorchers mußte schweren Herzens darauf verzichten, bei diesem Unternehmen, dem natürlich unser aller Begeisterung galt, dabei zu sein, noch hatten sich seine Wunden nicht geschlossen. Die russische Alpinistengruppe mußte heimreisen, sie war aus bedeutenden

Mitgliedern der russischen Staatsregierung zusammengesetzt, deren Zeit natürlich kürzer bemessen war. So waren denn nur Allwein, Schneider und ich diejenigen, denen es beschieden war, diesen Versuch zu unternehmen. Dr. Nöth, den seine wissenschaftlichen Aufgaben ins Saut-Sai führten, und L. A. Perlin, der aus allgemeinem Interesse uns ein Stück begleiten wollte, schlossen sich uns an. Schwierig, wie stets, war die Trägerfrage, jetzt doppelt wichtig, da für uns besonders viel davon abhing. Unsere Bergtadschiken, erklärten alle einstimmig, um jeden Preis heimwärts ziehen zu wollen. Nach langwierigen Verhandlungen und auf das Versprechen von zahlreichen Kubeln, blieben noch einige wenige bei der Expedition, nachdem ihre letzte Ausrede, sie hätten keine Schuhe, dadurch ihre Überzeugungskraft verloren hatte, daß wir ihnen unsere Reserverbergschuhe gaben. Unsere beiden Träger, verhältnismäßig brauchbare Leute, hießen Dario und Bodor, sie stammten aus der wilden Schlucht des Bartang. Immerfort waren sie vom Heimweh geplagt und der einzige Augenblick, an dem sie einmal in restlosem Glück gestrahlt haben, war der, als wir ihnen schließlich sagten: Morgen könnt ihr nach Hause gehen.

Am 18. September mittags brachen wir von Altin Masar auf. Der Weg, der in der Nähe des Ortes ganz ausgetreten war, verlor sich bald, wir kamen in eine Schlucht und ritten zwischen wilden Felswänden durch den weglosen groben Bachschotter dahin. Der Bach fließt einmal hart an der rechten, dann wieder hart an der linken glatten Felswand, so daß uns nichts übrig blieb, als immer wieder hindurchzureiten. Bewunderungswürdig war die Wassertechnik unserer Träger. Sie mußten obendrein noch einen widerstrebenden Hammel hindurchziehen. Am Abend schlugen wir unsere Zelte unter wildzerwachsenen alten Moränenwänden in einer Gegend auf, in der man früher einmal nach Gold gesucht hat.

Am Mittag des 19. September kamen wir nach Ran, einem Weideplatz der Kirgisen vor einer engen Schlucht des Haupttals. Der „ortskundige“ Kirgise, den wir in Altin Masar angeworben hatten, schwindelte uns vor, hier sei das letzte Gras und das letzte Holz, und es sei ausgeschlossen, mit Pferden weiterzukommen. Als Nöth und Allwein von einer Anhöhe aus erkundet hatten, daß es noch sehr gut weiter ging, war es heute für den Weitermarsch zu spät. So erreichten wir erst am 20. September das Talstück *R u s g u n - T o k a i*, „Rabenwald“. Dieser Platz hatte alles, was man für einen schönen Lagerplatz braucht, klares Wasser, Holz und Weide. Er hat sich später, als wir vom Pik Lenin zurückgekehrt uns dort erholten, infolge seiner allgemeinen „idyllischen Eigenschaften“ ausgezeichnet bewährt. Nur einen Nachteil hatte er, er lag nämlich wenig über 3000 m hoch, mehr als 1000 m tiefer als das entsprechende Standlager im Kara-Dschilga-Tal. Mehr als 4000 m Höhenunterschied trennten uns hier noch vom Gipfel des Pik Lenin (siehe Bilder gegenüber S. 132 und S. 160).

Keine Zeit durfte verloren gehen. Gleich am nächsten Tag, dem 21. Sept. brachen wir auf. Wir nahmen mit für uns und die beiden Träger Proviant für 5—6 Tage, zwei Hochzelte, eins für uns und eines für die Träger, Schlafsäcke und den Zeltsock. In die Last teilten wir uns mit den Trägern. Perlin begleitete uns vorläufig. Auf der endlosen Schuttfäche des fast ebenen Tales wanderten wir ostwärts. Eine Menge Steinbockgehörne lagen umher, zum Teil noch ganz frisch, Bärenspuren in Mengen und Überreste ihrer Mahlzeiten. Schon ziemlich weit im Osten kam von links ein unglaublich zerrissener Gletscher herab, in wilde Eisstürme aufgelöst. Sonst bot das Tal mit seinen graugelben Hängen wenig Interessantes. Gegen Mittag wurden wir kurz in unserem raschen Vordringen gehemmt. Die Wassermassen des Gletscherabflusses wälzten sich an unserem Ufer hart an einer glatten steilen Felswand vorbei, wir mußten diese Prallstelle oben in den Felsen überklettern. Am Nachmittage um 3 Uhr standen wir endlich vor der riesigen schuttbedeckten Zunge eines offenbar sehr großen Gletschers. Er füllt mit seinen Eismassen das ganze Tal aus. Wir freuten

uns schon, den Hauptgletscher erreicht zu haben, der sich, wie wir hofften, wenig weiter östlich nach Norden wenden sollte. In froher Erwartung kletterten wir über den gräulichen rutschigen Schutt hinauf, nicht ohne vorher noch einmal den Bach, der hier groß und kalt aus dem Gletschertor hervorkommt, durchwatet zu haben. Droben die Enttäuschung. Ein mächtiger Gletscher zwar kommt hier von Norden herab, aber er sperrt nur das Tal, dahinter ist es wieder vollkommen aper und noch mehrere Kilometer weit nach Osten hin ist es mit Bachgeröll angefüllt. Dazwischen gliedert der Flußlauf, der in der Ferne aus dem folgenden Gletscher hervorquillt und dann unter dem Eis des ersten Gletschers, auf dem wir jetzt standen, wieder verschwindet. Kaum wagten wir noch zu hoffen, daß der nächste Gletscher der ersohnte Hauptgletscher sei. Wir gingen noch bis in die Mitte der aperen Zone zwischen den beiden Gletschern und lagerten unter den in ganz merkwürdiger Weise zerwaschenen, in unglaubliche Rinnen, Kamine und Türme aufgelösten Wänden einer alten Moräne. Ein Bächlein rann hier, das sich durch seine Klarheit in wohlthuender Weise von dem graugelben Schmutz des großen Gletscherbaches unterschied, 3800 m.

Am anderen Morgen näherten wir uns dem nächsten Gletscher, der ebenso ein-drucksvoll das Tal absperrt mit den gewaltigen schuttbedeckten Eismassen seiner Zunge, wie der erste, und der es ebenso ungewiß ließ, was sich uns hinter seiner Zunge zeigen würde. Als wir ein Stück auf ihm vorge drungen waren, sahen wir, daß zwar noch einmal ein Seitengletscher von Norden herunterkommt, daß wir uns aber schon auf dem zusammenhängenden Eisstrom des Nördlichen Sauk-Sai-Gletschers befanden. Bis zu der Stelle, wo er endgültig nach Norden umdreht, sind es zwar noch immer etwa 5 km. Aber wir fanden einen breiten Graben zwischen Fels und Eis, in dem wir verhältnismäßig gut vorwärtskamen. Eigentlich mehr gefühlsmäßig trachteten wir dann, durch ein kleines Tälchen auf die große alte Moräne zur Linken hinaufzukommen. Hier konnten wir, ein glückliches Treffen, die große Kurve des Gletschers, die uns durch ihre Zerrissenheit viel Mühe und Zeit gekostet hätte, auf ganz gut gangbarem Gelände abschneiden. Erst als ein kleiner Gletscher von Nordwesten her mit seinen großen Eismassen uns den Weiterweg versperrte, gingen wir wieder nach rechts mehr zur Mitte des großen Gletschers. Nun hatten wir schon reine Richtung nach Nord zur Hauptkette des Transalai. Hier hielten wir Mittagssrast zwischen zwei Moränen, die auch hier, wie am Fedtschentogletscher, wie Fahrgeleise der Bewegung des Gletschers in seiner ganzen Länge folgen. Perlin, der nun schon einen ganzen Tag länger mit uns gegangen war, als er eigentlich beabsichtigt hatte, kehrte hier um. Leider hatte er von hier aus den Pik Lenin noch nicht sehen können. Wir wanderten weiter nach Norden ins Unbekannte. Der ganze Nördliche Sauk-Sai-Gletscher mag etwa 25 km lang sein, davon wohl 20 km in Nord-Süd-Richtung. Den ganzen Nachmittag stolperten wir schon bergauf bergab auf einer Moräne dahin, weil die Oberfläche des Gletschers selbst zu uneben war. Ohne eigentlich viele Spalten aufzuweisen, war er im großen außerordentlich zerklüftet, mit großen zugefrorenen Eisseen durchsetzt und von tiefen und weiten Tälern zerrissen.

Gegen 5 Uhr nachmittags erblickten wir im Hintergrund einen Sattel, der offenbar schon im Hauptkamm des Transalai lag und in dem der Gletscher sein Ende zu finden schien. Es wurde Zeit, uns nach einem Nachtlager umzusehen. Wir gingen über das blanke Eis auf das orographisch linke Ufer, wo wir unter krachenden Eisstürmen in 4600 m Höhe die Zelte aufstellten. Abends hielten wir lange Diskussionen darüber ab, wo nun wohl der Pik Lenin läge.

Am 23. September gerieten wir gleich anfangs in ein wüstes Labyrinth von Eisstürmen und Spalten. Der Bruch eines steil von rechts herunterziehenden Gletschers schob sich hier in den Hauptgletscher hinein, und wir mußten ihn queren, um in die Mitte des Gletschers, wo das Fortkommen sicher war, zu gelangen. Es dauerte eine

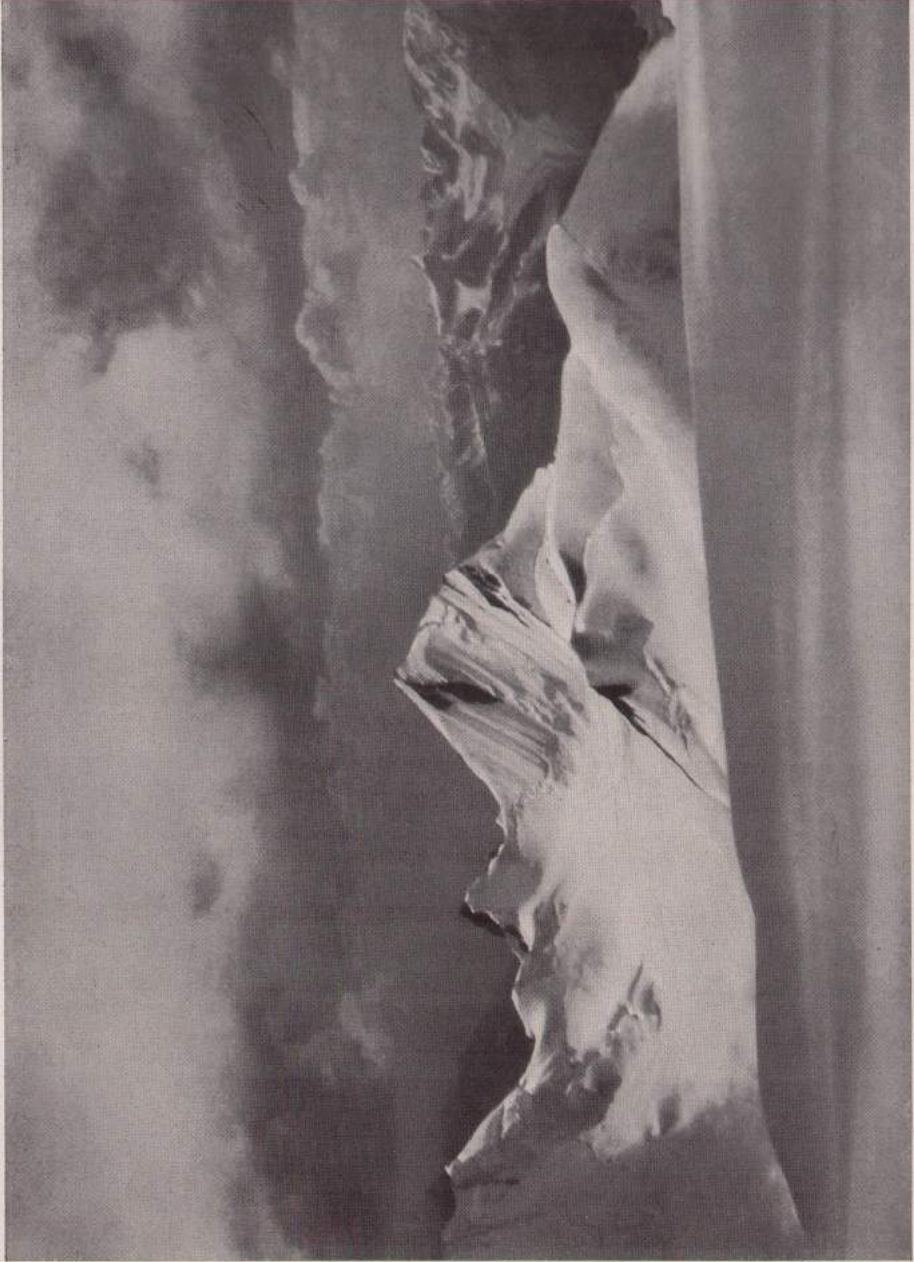
gute Stunde bis wir wieder richtig in Fahrt waren, denn den Trägern mußten wir bei der Eiskletterei so ziemlich jedesmal den Fuß in großgeschlagene Stufen setzen. Dann ging es aber rasch und unaufhaltsam, teils wieder auf der Moräne, teils auf dem hier nun endlich gangbaren Gletscher aufwärts. Der Grat im Westen des Sattels rückte unaufhaltsam ansteigend langsam in unser Gesichtsfeld und schien ins Unendliche zu gehen. Er fand seinen Abschluß in einem ungemein eindrucksvollen Firngipfel, der mit einer wilden Eiswand zum Gletscher abbrach. Es durchzuckte uns ein Ahnen: das ist der Pik Lenin. Aber der mußte ja nach unseren Erfahrungen auf der anderen Seite des Sattels liegen.

Von einer Mulde zur anderen stieg nun der Gletscher mehr und mehr, Spalten traten auf und machten uns zu schaffen, glattes, spiegelndes Wassereis bedeckte auf lange Strecken den Gletscher. In der obersten Firnmulde, bei dem letzten Geröll, das an der Seite noch zu finden war, warteten wir auf die Träger, die unter leisem Stöhnen weit hinter uns drein kamen. Wir mußten sie hier in 5200 m Höhe zurücklassen. Der immer steiler werdende Anstieg zum Sattel zeigte auch viel Blankeis, das den Trägern, die keinerlei Übung und keine guten Steigeisen hatten, zu schwer werden würde. Und dann erschien es uns auch ratsam, sie nicht der bestimmt oben auf dem Sattel uns erwartenden großen Kälte auszusetzen.

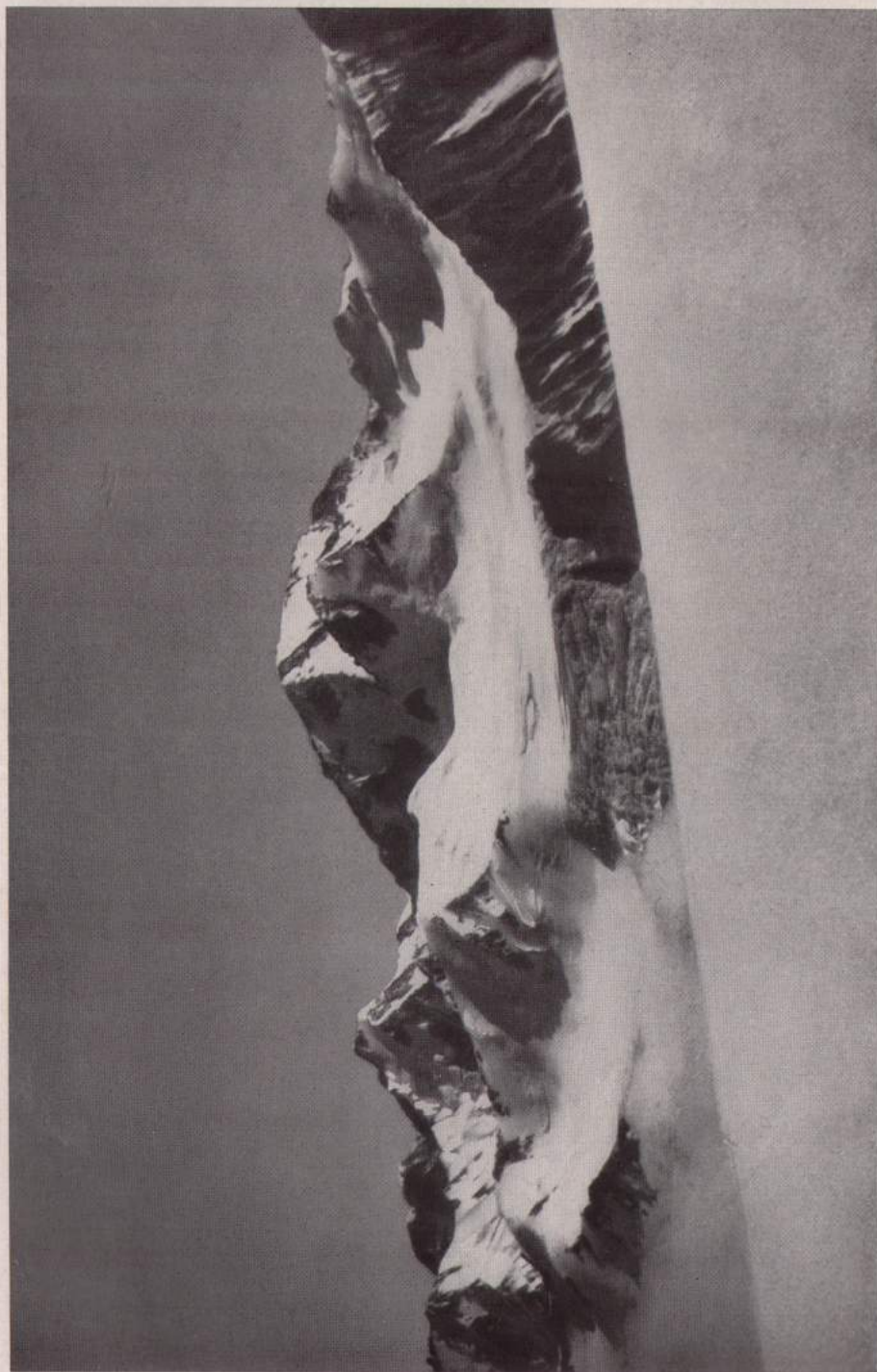
Wir versuchten nun unseren Trägern verständlich zu machen, daß sie hier bis zu unserer Rückkehr in zwei Tagen auf uns warten sollten. Obwohl an sich keiner die Sprache des anderen sprach, hatten wir doch einige Brocken Tadschikisch und die Träger einige Worte Deutsch gelernt, die Gebärdensprache half nach, und die Verständigung hatte bisher ganz gut geklappt. Ein Zelt, Proviant, einen Kocher und Brennstoff ließen wir für die Träger zurück. Dann schulterten wir unsere Rucksäcke mit Schlaffäden, Zelt, Zeltstange und Proviant für zwei Tage und stiegen gegen den Sattel an. Mit erstaunten und furchtsamen Augen sahen uns die Träger nach. Das Verständnis für unser Treiben ging ihnen ab.

Rechts und links von unserem Weg erhoben sich unglaubliche Eismauern von großer Steilheit und unabsehbarer, trostloser Gleichförmigkeit. Dazu war das Wetter nicht schön, starker Wind und eine gänzlich schattenlose Beleuchtung, nicht sehr lockend, in die hohe Kälte hinaufzusteigen. An die zwei Stunden gingen wir so dahin, zuerst noch auf blankem Eis, dann auf Firn und zuletzt noch einige Zeit in tiefem Schnee spurend, immer den Sattel im Hauptkamm des Transalai vor unseren Augen. Gegen 5 Uhr nachmittags betraten wir den Sattel. Ein unermesslicher Fernblick tat sich uns auf. Tief zu unseren Füßen das Alaital, eine weite grünlichgelbe Ebene, klein und fern dahinter mit nur wenigen schneebedeckten Häuptern der Alai, alles in einer seltsamen Abendbeleuchtung.

Hier wollten wir die Nacht zubringen und wir sahen uns deshalb nach einem geeigneten Lagerplatz um. Es war nicht leicht einen solchen zu finden, da das ganze Gelände in gleicher Weise dem Südwind, der heftig über die Pashöhe pfiff, und dem Westwind, der im Pamir immer und überall in wechselnder Stärke zu finden ist, ausgesetzt ist. Gegen den Paschwind von Süden konnten wir uns einigermaßen schützen, indem wir jenseits einige Meter nach Norden abstiegen, und da gerade einmal für einen Augenblick der Westwind aufgehört hatte, glaubten wir zwischen zwei Spalten einen geeigneten Platz gefunden zu haben. Wir befestigten und verstreuten unser Zelt mit Pickeln und Steigeisen, die sofort in dem harten Firn vollkommen festfroren. Mit der Nacht fiel uns der Westwind an. Unser kleines steifgefrorenes Zelt knatterte im Winde, prasselnd wurde der Schnee auf das Dach niedergeworfen und blieb dort in einer dicken Schicht liegen, vor dem Eingang des Zeltes bildete sich eine Schneewehe, die alle unsere Sachen begrub. Der Schnee wurde sogar ins Zelt hereingebblasen und schlug sich in sehr lästiger Weise auf unseren Köpfen nieder.



Pamir-Westrand vom Palu, 5670 m, gegen Westen



Pik Sicker, 6726 m, vom Aufstieg zum Breithorn

So angenehm gering das Gewicht unseres Zeltes war und so, fast möchte ich sagen, behaglichen Unterschlupf uns es in den vergangenen Wochen gewährt hatte, hier oben in einer Höhe von 5820 m und zu einer solchen Jahreszeit vermochte es unseren Anforderungen nicht ganz zu entsprechen. Wir füllten es mit unseren Schlaffsäcken vollkommen aus, alles andere, Kocher, Proviant, Photoapparat mußte draußen bleiben und das Kochen, das lediglich in dem Versuch bestand, einen Tee herzustellen und das eine Aufgabe war, der sich Allwein mit mehr Hingabe als Erfolg unterzog, mußte draußen erfolgen und blieb ein sehr unrationelles Unternehmen trotz aller Versuche, die Wärme aus dem Metavergasen daran zu hindern, nach unten und nach den Seiten abzuziehen, so gut Meta an sich auch hier oben sich bewährt hat. Ein Zelt, das den Ausgangspunkt für die Besteigung eines so hohen Berges bieten soll, sollte so groß, ich möchte sagen, so komfortabel sein, daß man darin kochen und auch die Stiefel anziehen kann. Tritt man dann schon in voller Rüstung hinaus in die Kälte, so kann man ihr viel eher Widerstand leisten, als wenn sie schon während des Anziehens der Hüllen die Möglichkeit hat, sich unter ihnen einzunisten. Die Frage der Verpflegung war durch die Umstände bedingt. Das Herstellen von Flüssigkeiten machte große Schwierigkeiten. Der Tee, kaum in die Becher ausgeschenkt, wurde im Nu wieder kalt und beim Kochen wurden die Finger so kalt, daß man es nicht lange Zeit fortsetzen konnte. Infolge des Mangels an Flüssigkeit hatten wir wenig Appetit und daher auch nur ein geringes Interesse für den Speisezettel. Wir aßen Wurst und etwas Bündner Fleisch, das wir uns, Borchers sei dank, für dieses Unternehmen noch gespart hatten. Schon die Art und Weise wie man an dem feingetrockneten Stück Fleisch längere Zeit herumknibbeln mußte, machte die Sache schmachhaft. Dazu knabberten wir Militärzwieback, genannt Mandverbrötchen, die nie eine Änderung ihrer Konsistenz erfahren, weil sie von Natur schon so trocken sind, daß sie niemals frieren können und daher nie langweilig werden. Danach gab es dann noch etwas Plumpudding, doch auch diese sonst in Hochlagern so freudig begrüßte Delikatesse, die wir in schönen, in der Höhe leicht aufgequollenen Konservenbüchsen mit uns führten, war gefroren und sehr hart und wurde nur in kleinen Mengen verspeist. Außerdem waren wir froh, wenn wir uns jeder Art von Tätigkeit enthalten konnten, auch der des Essenzubereitens und Vertilgens, und uns den Schlaffack bis zu den Ohren heraufziehen konnten, weniger wegen der Höhe als wegen der Kälte. Der Schlaffack hielt uns auch hier recht schön warm, obwohl wir aus Gründen der Gewichtersparnis seine Segeltuchhülle unten gelassen hatten. So lagen wir und horchten dem Pfeifen des Windes, gewärtig, daß er eine Verstrebung des Zeltes losreißen würde, und nur von Zeit zu Zeit rafften wir uns auf, den auf dem Dach angeweheten Schnee hinunterzustößen, damit das Dach, das ja so wie so nicht sehr hoch über unseren Köpfen war, uns nicht zu weit ins Gesicht herunterhing.

Niemals war die Ungewißheit über die Lage des Piku Lenin größer als an diesem Abend. Zwar hatten wir im Heraufwandern über den Gletscher tatsächlich diesen riesigen Berg zur Linken gesehen. Der Gedanke, daß das der Piku Lenin sei, lag nahe, und Schneider plädierte dafür. Aber hatten wir nicht schließlich vom Kara-Dschilga-Gebiet aus einen Berg östlich von unserem Hochsok als den höchsten angesprochen? Sagte nicht auch die Landkarte, daß vom Piku Lenin die Wasserscheide nach Süden abzweigt? Konnte nicht im Osten unseres Lagers hinter der alles verdeckenden steilen Firmwand ein noch höherer und schönerer Berggipfel liegen? Nach endlosen Debatten kamen wir überein, am nächsten Tag nach Osten anzusteigen.

Ruhig, zum Teil schlafend, verbrachten wir die Nacht. Unsere Thermometer hatten die verschiedenen Wechselfälle der Expedition nicht überlebt. Wir hatten nurmehr das kleine Instrument, das auf dem Zifferblatt des Barometers befestigt war. Es ging nur bis -23 Grad und das Quecksilber hatte sich längst in sein Gehäuse zurückgezo-

gen, obwohl es im Zelt in unmittelbarer Nähe meines Schlaffaces gelegen hatte. Allwein begann sein leidenvolles Amt als Koch, es gelang ihm nur mit sehr großer Mühe, für jeden von uns ein halbes Täßchen Tee herzustellen, der noch dazu einen merkwürdig schlechten Geschmack hatte. Das Anziehen der Stiefel, die zu Eisenröhren erstarrt waren, war eine Qual. Einer nach dem anderen kam aus dem Zelt herausgetreten in die schauerliche Kälte, beendete dort seine Toilette und bemühte sich dann durch heftiges Hin- und Herrennen neben dem Zelt von innen her etwas Wärme zu schaffen, was aber bei dem kalten Wind als aussichtslos bald aufgegeben wurde. Um 7 Uhr waren wir alle marschbereit und begannen auf dem östlich vom Sattel ansteigenden Firngrat emporzusteigen. Der Schnee, der im Anfang den Eindruck eines schön und hart verblasenen Firngrates machte, wurde bald weiter oben bei zunehmender Steilheit locker, eine ziemliche Spurarbeit begann wieder. Trotzdem hatten wir nach gut 1 Stunde einen markanten Punkt, den „Eispfeiler“, erreicht, der weit nach Norden vorgeschoben war, 6100 m. Wir standen auf der Grathöhe und hatten Einblick in den Aufbau der Transalajette in einer Weise, wie wir sie uns nicht besser wünschen konnten. Alles was bisher zweifelhaft für uns gewesen war, lag nun klar vor unseren Augen. Wir sahen, wie die Kette sich in großem flachem Bogen hinüberzog zu den weiter östlich gelegenen Bergen, dem Kizil-Argin, mit seinem ganz merkwürdig gleichmäßigen, flachen, nach Osten streichenden etwa 6800 m hohen Gipfelgrat. Wir sahen im Süden dicht über uns den „Großen Regel“ und wir sahen den hohen Berg im Westen alles weit überragen, was sonst in der Hauptkette des Transalai lag. Da merkten wir endlich und mit aller Deutlichkeit, daß wir uns auf dem falschen Wege und der falschen Seite befanden. Wir zogen die Konsequenzen und stiegen ab. Keine zwei Worte wurden darüber gewechselt, selbstverständlich erschien es uns allen, daß wir noch eine weitere Nacht im Hochlager am Ostsattel des Pik Lenin zubringen und am anderen Tag den entscheidenden Schlag führen würden.

Ein sonderbares Gefühl war es, am Vormittag gegen 10 Uhr im Zelt zu sitzen, an einem wundervollen Tag, wie wir ihn bei der jetzt im Herbst schon sehr wechselnden Witterung wohl kaum für die Besteigung hätten erhoffen können, und zuzusehen wie die Sonne allmählich am Grat des Pik Lenin in die Höhe stieg und schließlich wieder verschwand. Wir hatten jetzt Muße genug, uns klarzumachen, an welchem eindrucksvollen Platz unser Zelt stand. Die kleine Firnterrasse geht wenige Meter tiefer in eine steile Eiswand über. Sie reicht hinüber bis zur eigentlichen Nordwand des Pik Lenin, die, man kann es wohl sagen, in einheitlicher Neigung an die 4000 m heraufsteigt aus der Ebene des Alaitals. Es kann wohl nur der einen Begriff von den ungeheuren Ausmaßen an der Nordseite dieses Berges bekommen, der wie wir, mitten darin gestanden und über die unfäglich wilden Abstürze hinabgeblickt hat. Wenn man den Pik Lenin aus der Ebene des Alaitals sieht (vgl. Bild S. 65), im besten Fall aus 30 km Entfernung, so hat er schon seine Wucht verloren. Ihm, der in der Kette ziemlich weit zurückliegt, wird durch die Gleichmäßigkeit, mit der die Transalajette als ganze auf den Beschauer wirkt, seine Eigenart genommen, und wohl erst, wenn man auf dem Gletscher, der sich aus den von den Nordflanken abstürzenden Eismassen bildet, soweit vordringt, daß man unmittelbar an dem Fuß dieser Wand steht, wird man den Eindruck haben, der uns hier oben erfüllte. Auf der Südseite ist es ähnlich. Der Pik Lenin liegt unglaublich versteckt im Hintergrund des Gletschers, man wird seiner erst ansichtig, wenn urplötzlich die 2000 m hohe Eiswand vor einem in die Höhe ragt. Es war daher auch sehr schwierig, fast unmöglich, ihn von unten von irgendeiner Seite so zu photographieren, daß das Bild der Wirklichkeit einigermaßen gerecht würde.

Schnell kamen Abend und Nacht. Etwas weniger rüttelte der Wind am Zelt und wir schliefen mehr. Am Morgen zeigte das Thermometer nur -18 Grad im Zelt. Wir machten uns die Erfahrungen des gestrigen Tages zunutze. Unsere Stiefel hatten

wir während der ganzen Nacht im Schlafsack gewärmt, indem wir einfach daraufgelegen hatten. So waren sie schön weich und schmiegsam, das Anziehen ging leicht und die Füße waren nicht schon von vornherein ganz eisig. Dann verschoben wir das Aufstehen und den Aufbruch, bis die wärmenden Strahlen der Sonne unser Zelt erreichten. Zwar wurde es 8 Uhr, bis sie hinter dem Berggrücken im Osten hervorkam, aber wir erhofften uns von ihr doch eine wesentlich belebende und wärmende Wirkung. Alles, was unsere Rucksäcke an wärmenden Sachen bargen, legten wir an, außer den normalen dicken Kleidungsstücken und dem Windanzug, die man ja in den Alpen bei Schneesturm genau so nötig hat, noch eine Garnitur Unterzeug aus Papier. Als Kälteschutz für die Füße dicke Lappen, die um die Schuhe gewickelt wurden, darüber die Steigeisen, die sie zugleich festhielten. Natürlich hatten die Steigeisen doch wieder eine schädliche Wirkung, weil die Riemen der Bindung immer irgendwo auf den Fuß drückten und die Blutzirkulation hemmten. Aber wir brauchten sie doch unbedingt, denn der Firn war hartgeblasen und glatt und zum Teil war unser Weg sehr steil. Ein jeder trug einen Rucksack von sehr kleinem Gewicht. Ich hatte den Photoapparat, der wegen der Kälte schließlich leider nicht funktionierte, und das Barometer, das infolge der an es gestellten Ansprüche groß und schwer war. Allwein hatte den Zeltsack für Kisten bei Wind und überhaupt für den Notfall, Schneider etwas Proviant, hauptsächlich Bonbons, die zu essen wir merkwürdigerweise am längsten Lust hatten, Schokolade und Dörrobst.

So verließen wir am 25. September, dem 5. Tag seit unserem Aufbruch aus Rusgun Tokai, morgens 8 Uhr 20 Min. unseren Lagerplatz am Ostfattel, 5825 m, und begannen auf schön verblasenem Schnee den Ostgrat des Piku Lenin anzusteigen. Um es vorwegzunehmen, es trennten uns noch 1500 m Höhenunterschied von dem höchsten Punkt, als Anstiegsleistung in alpinen Verhältnissen etwas durchaus Normales. Für zentralasiatische Verhältnisse bedeutete es jedoch selbstverständlich mehr, weil natürlich hier mit zunehmender Höhe das Tempo langsamer wird und weil man nicht weiß, wie gerade die letzten paar hundert Meter sich bewältigen lassen, wenn man durch den langen Anstieg bis in diese Höhe schon mitgenommen ist. Wir haben für diese 1500 m wenig mehr als 7 Stunden gebraucht, alle Kisten natürlich eingerechnet, was einer Durchschnittsgeschwindigkeit von etwas mehr als 200 m in der Stunde gleichkommt. Da aber die Geschwindigkeit im oberen Teil sicher sehr viel langsamer gewesen ist, so müssen wir im unteren Teil ein ganz ordentliches Durchschnittstempo gehabt haben. Es hatte sich eben gezeigt, daß wir durch den bloßen Aufenthalt in großen Höhen unseren Körper an den Sauerstoffmangel gewöhnt hatten.

Im ersten steilen Aufschwung des Grates, den wir erstiegen, fanden wir etwas Bruchharscht, in dem wir einsanken und spuren mußten. Es war die einzige solche Stelle. Von dort ab war der breite Grat, der dauernd vom starken Wind überstrichen wurde, hart verblasen, und unsere steigeisenbewehrten Füße ließen nur selten eine merklich vertiefte Spur zurück. Um ein Beispiel von der Art des Geländes zu geben, möchte ich den Grat mit dem Ostgrat des Montblanc vergleichen, der sich vom Col de la Brenva über den Mur de la Côte ja auch in verschiedenen flacheren und steileren Stücken zum Gipfel aufschwingt und auch nach Süden und, wenigstens im oberen Teil, nach Norden ziemlich steil abfällt. Nur muß man, um einen Begriff von der Größe zu bekommen, diesen Grat, dessen Höhe etwa 500 m beträgt, dreimal aufeinander setzen. Wer diesen Rücken des Montblanc einmal hinaufgestiegen ist, weiß, wie sehr man dabei den Gipfel herbeisehnt und wie sehr, vielleicht gerade durch die Einförmigkeit, dieser Anstieg auch auf die geistige Triebkraft einen hemmenden Einfluß auszuüben imstande ist.

Ein starker Wind wehte, aber im Anfang hatten wir noch schöne Sonne und sahen an den Bergen im Osten, wie wir uns langsam in die Höhe schraubten. Immerhin

nach einer Stunde nahmen wir den Zeltsack heraus, krochen alle drei hinein und ruhten uns an der rasch entstehenden Wärme etwas aus. Um 12 Uhr kamen wir auf eine selbständige Erhebung im Grat, 6770 *m*. Als hiermit die Sicht nach vorne offen geworden war, mußten wir leider feststellen, daß der Gipfel noch hoch und steil und weit von uns entfernt war und was für uns das schlimmste war, daß eine Scharte zwischen uns und dem Gipfelaufbau lag. Mehr als 50 teuer erkaufte Meter gingen wieder verloren. Aber nicht mit einer Gegensteigung war es getan, dreimal mußten wir hinunter, hinauf und wieder hinunter. Allmählich begann das Gefühl unsere Zehen zu verlassen. Mir ging es noch am besten, aber auch die anderen beiden dachten nicht daran aufzugeben. Allzunahelag das Ziel vor uns, und da der Abstieg ja nicht sehr lange dauern würde, würden wir mit den Füßen in absehbarer Zeit aus der ärgsten Kälte wieder herauskommen. Als endlich das anstrengende ebene Gratstück mit seinem Auf und Ab hinter uns lag und wir den Sockel des eigentlichen Gipfelaufbaus erreicht hatten, wuchs auch unser Unternehmungsgeist. Bald kletterte das Aneroid wieder merklich in die Höhe. Immerhin ist es doch so, daß wir in 6900 *m* unsere wirklich nicht schweren Rucksäcke liegen ließen; etwas Erleichterung verschaffte es doch. Dann arbeiteten wir uns weiter empor, Meter um Meter. Die Rasten fielen immer näher zusammen, erst alle 50 *m*, dann alle 30 *m*, und gegen Ende setzten wir uns alle 10 *m* kurz in den Schnee.

Die Sonne war verschwunden, Nebel brandeten von Westen herauf. Von diesen letzten paar hundert Metern kann man wohl sagen: Es ging hart auf hart! Gemessen an anderen, besonders am Mount Everest erreichten Höhen ist natürlich 7000 *m* noch nichts besonders Bemerkenswertes, und so sind unsere Leistungen auch noch von einer anderen Größenordnung, als die der Bergsteiger im Himalaja. Aber einige erschwerende Umstände muß man in Rechnung stellen, um zu verstehen, daß es für uns auch ein Kampf gewesen ist. Wir waren direkt aus dem Standlager in 3000 *m* Höhe heraufgekommen und die Anstrengungen des zum Teil trägerlosen Anstiegs lagen uns noch in den Knochen. Aber wichtiger vielleicht waren die psychischen Momente, die dauernde Spannung, in der wir uns in den letzten Tagen wegen der Ungewißheit der Lage des Pik Lenin befunden hatten, und nicht zuletzt das Gefühl, vollkommen auf uns selbst angewiesen zu sein, das Wissen, daß wir die Sache vollkommen aus eigener Kraft auch noch über den ganzen Rückweg hinweg bis ins Standlager vollenden mußten. Der nächste Mensch, der uns in irgendeiner Sache helfen konnte, war 5 Tage, 70 *km* Luftlinie, von uns entfernt. Die Träger konnte man nicht mitrechnen, weil sie, allerdings nur in diesen Höhen und in dieser für sie ungewohnten und unheimlichen Umgebung, nur mit unserem Ansporn zu Leistungen zu bringen waren. Ich glaube, man unterschätzt oft, wieviel es in der Leistung ausmacht, wenn man weiß, daß man sich vollkommen ausgeben darf und daß es damit getan ist, gerade noch mit den letzten Kräften dorthin zurückzukommen, wo einen eine warme Hütte oder hilfsbereite Menschen in Empfang nehmen.

Ganz zum Schluß versuchte der Berg noch einmal, uns durch Schwierigkeiten abzuslagen. Die letzten 150 *m* sind sehr steil, ungefähr 55 Grad, an sich zwar ein erstklassiger Steigeisenhang, aber hier oben als Dreingabe nach allem Vorausgegangenem wurde er von uns doch als sehr bitter und anstrengend empfunden. Doch er vermochte uns nicht mehr in unserem Vordringen aufzuhalten.

Um 3 Uhr 30 Min. nachmittags betraten wir die windumtoste **G i p f e l f l ä c h e**. Auf dem höchsten Punkt, einem kleinen aus dem Firn hervorragenden Felsköpfel, drückten wir uns die Hände und setzten uns nieder. Der Höhenmesser war auf 7000 *m*, der Grenze seiner Leistungsfähigkeit, stehengeblieben. Nebel waren im Süden und im Westen und nur undeutlich und verschwommen sahen wir im Westen den Grat zu einem niedrigen Firngipfel, dem etwa 6710 *m* hohen Bergau-Tasch, sich senken. Die

Nordwand, steil zum Gletscher gegen das Maital abfallend, die Südwand 2000 *m* bis zu dem Gletscher, über den wir heraufgekommen waren, hatten wir schon während des ganzen Anstiegs vor Augen gehabt. Im Osten, ganz hinten in China, sahen wir Schneeberge in weiter Ferne. In der Nähe all die vielen Berge des östlichen Transalaj, hinter denen der Kara-Kul mit seinem blauen Wasser liegt, alle tief unter uns. Das war der Rundblick, den wir hatten, lange haben wir nicht geschaut. Die große Kälte ließ uns nicht länger verweilen.

Der Abstieg dauerte 2 $\frac{1}{4}$ Stunden. Im Augenblick, in dem man aufhört, bergan zu steigen, bei der Rast und beim Abstieg, sind die lähmenden Wirkungen der Höhe nur mehr zum kleinen Teil wirksam und man wird, wie das ja auch die Engländer angeben, selbst für den Mount Everest, im Abstieg im allgemeinen ähnliche Zeiten erzielen wie in den Alpen, wenn man berücksichtigt, daß die Strapazen des Aufstiegs natürlich eine gewisse allgemeine Erschöpfung im Körper zurücklassen. In schlimmer Erinnerung habe ich allerdings die endlos scheinende Gegensteigung, die nun, da man schon ganz auf einen Abstieg ohne wesentliche Willensanstrengung eingestellt war, doppelt unangenehm empfunden wurde. Ganz mechanisch folgten wir im Nebel, der inzwischen den ganzen Grat eingehüllt hatte, unseren Aufstiegs Spuren.

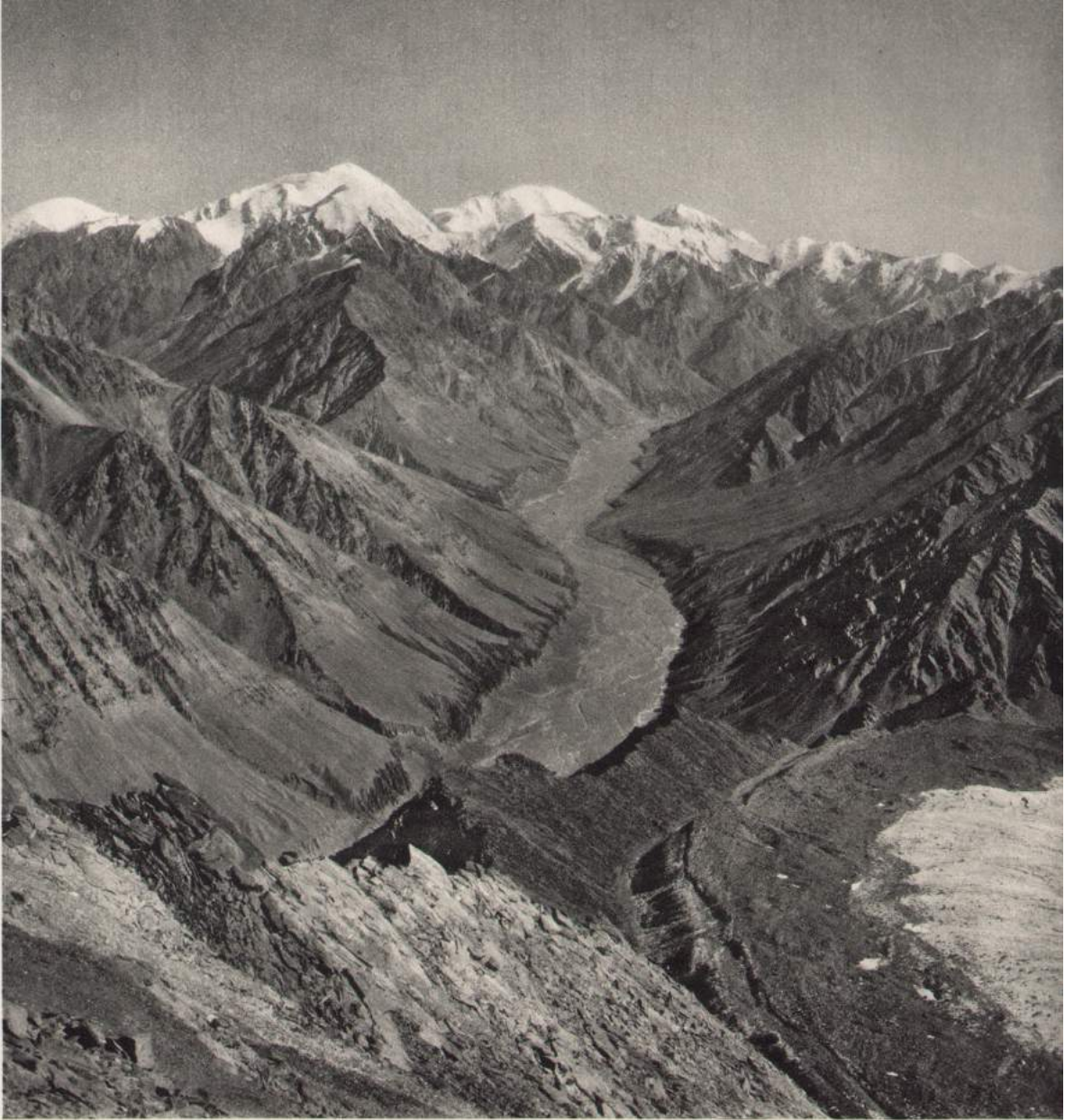
Um 5 Uhr 45 Min. trafen wir im Ostsattel bei unserem Zelt ein. Gerade rissen die Nebel auf und in ein seltsames rotes Licht getaucht lag das Maital zu unseren Füßen. Wir machten uns sofort daran, unsere Sachen zusammenzupacken. Eine dritte Nacht in diesem unwirklichen Hochlager zu verbringen, erschien uns nicht ratsam. Wir wollten tiefer auf dem warmen Schutt des Lagerplatzes der Träger in 5200 *m* übernachten. Beim Abbrechen des Zeltes konnten wir zu unserer großen Freude noch Teile unseres Proviantes aus dem Firn herauspacken, die wir schon für verloren gehalten hatten. Während es dunkel wurde, stapften wir zwischen den unfreundlichen Eismänden hinunter und gingen mit etwas knierrigen Knien über das blanke Eis. Irgendwann, der Mond schien auf die einsamen Wanderer und ich war zu müde, um auf die Uhr zu sehen, kamen wir zum Ziel. Doch — die Stätte war verlassen, die Träger waren ausgerissen. Den Trägerrucksack mitsamt etwas Proviant hatten sie uns zurückgelassen und oben auf einem Hügel hatten sie einen kleinen Steinmann erbaut. War es ihnen wohl zu kalt und zu unheimlich geworden in dieser Gletscherwüste? Wir wurden dadurch an diesem Abend sehr wenig berührt. Wir schlugen unser Zelt irgendwo schief in die Gegend, keine Nacht ist es jemals mit so wenig Sorgfalt aufgeschlagen worden, hatten nur noch einen Eissee auf, mit dessen Wasser wir unseren maßlosen Durst zu löschen versuchten, dann krochen wir in die Schlaffäde und schliefen.

Schlaftrunken schälten wir uns aus unseren Säcken, als schon die Sonne heiß auf das Zelt Dach herunterbrannte. Nun untersuchten wir genauer den Zustand unserer Füße. Schneiders Füße hatten am meisten gelitten, während Allweins und meine lediglich stark angeschwollen waren. Schmerzhaft war das Auftreten für alle. Wir befanden uns drei Tagemärsche vom Standlager entfernt, ohne Träger, die Lage war nicht erfreulich. Immerhin, das einzige, was wir tun konnten, war möglichst rasch zum Standlager hinabzusteigen. Unser Marsch den Gletscher hinunter, der erst um 10 Uhr begann und schon um 4 Uhr 30 Min. nachmittags endete, war ein richtiger Trauermarsch. Zunächst mußten wir von Mulde zu Mulde über das blanke Eis hinuntergehen, dann fanden wir wieder den Anfang derselben Längsmoräne, über die wir schon heraufgekommen waren. Wenn es auch eine unglaubliche Art der Fortbewegung war, auf diesen ungleichmäßigen, rutschigen Schuttmassen und Blöcken immerfort bergauf bergab dahinzustolpern, so mußten wir doch dankbar für diese Straße sein. Nur ein einziges Mal stellte sie uns ein wirkliches Hindernis in Gestalt von einigen riesigen Querspalten in den Weg, die wir überlisteten mußten. Sonst blieb uns nichts übrig, als geduldig des Weges zu ziehen und zu warten, bis der Pik Lenin mit sei-

nem unendlich langen Ostgrat hinter den weiter südlich gelegenen Bergen verschwand und bis allmählich der große südliche Gletscher mit seinen Bergen in unser Gesichtsfeld hereinwuchs. Gegen Mittag wurden, namentlich bei Schneider, die Schmerzen in den Füßen größer und besonders das „Anfahren“ nach den Rasten war schauerlich. So mußten wir schließlich den Gedanken aufgeben, bei einem kleinen See oben auf der alten Moräne, auf der wir auf dem Hinweg die Kurve des Gletschers abgeschnitten hatten, das Lager aufzuschlagen. Vielmehr schon ungefähr dort, wo uns Perlin bei der Mittagsrast am 22. September verlassen hatte, stellten wir unser Zelt auf, das fünfte Lager auf dem Eis des Nördlichen Sau-Sai-Gletschers, etwa 4300 m. Schneiders Füße gaben zu Besorgnis Anlaß. Wir hielten es für unmöglich, daß er in diesem Zustande bis ganz ins Standlager würde gelangen können. Einer mußte voraus-eilen, um Schneider wenigstens bis zum Gletscherende mit Pferden entgegenzukommen. Bis dorthin mußte er allerdings unter allen Umständen zu Fuß gehen. Die Wahl, dieses Amt zu übernehmen, fiel auf mich, weil ich am wenigsten unter den Erfrierungen gelitten hatte.

Als am Morgen des 27. September die Sonne aufging, verließ ich meine Gefährten und machte mich auf den Weg. Langsam zog ich über den Schutt der Moräne noch ein Stück gletscherabwärts, betrat dann wieder die alte Moräne und kam durch das Täälchen neben dem Gletscher und über das Eis des ersten Seitengletschers hinunter ans Ende. Dort in der aperen Zone zwischen dem Gletscher I und dem Hauptgletscher war unser erster Lagerplatz, wo wir auf dem Hinweg ein Depot mit einem Büchsen-schinken und etwas anderem Proviant errichtet hatten. Als ich mich langsam hinkend diesem Platz näherte, sah ich zwei Gestalten sich dort herumbewegen, und ich merkte zu meinem Erstaunen, daß es unsere beiden Träger waren, die aus den kalten Regionen des oberen Gletschers sich in dieses halbwegs angenehme Plätzchen geflüchtet hatten. Die Freude darüber, daß ich jetzt nicht mehr meinen doch recht umfangreichen Rucksack zu tragen brauchte, überwog entschieden den Grimm, der mich eigentlich über diese beiden Flüchtlinge hätte erfüllen sollen. Ich nahm den einen, Dario, mit mir, schickte den anderen, Bodor, meinen Freunden entgegen. Allerdings Bodor legte sich, kaum daß ich mit Dario außer Sichtweite war, hinter einen Stein und wußte es so einzurichten, daß er Schneider und Allwein erst dort begegnete, als sie schon über die Zunge des Gletschers zum ebenen Talboden abstiegen. Ich eilte inzwischen verhältnismäßig leichtbeschwingt weiter über den Gletscher I und kam mittags um 1 Uhr ins breite, schutterfüllte Tal. Meine Füße vertrugen nur ungern eine Last, und so war es am besten, zu versuchen, in einem Zuge, ohne auch nur einmal auszusetzen, das Standlager zu erreichen. 20 km mochten noch in dem weglosen Tal zurückzulegen sein; 6 Stunden wanderte ich so mit möglichster Beschleunigung dahin; Dario, der sich emsig bemühte, mir zu folgen mit meinem Rucksack, stöhnte leise vor sich hin. Den Augenblick werde ich nie vergessen, als am Abend der Lagerplatz hinter der letzten Biegung vor meinen Augen lag, die Sträucher und die dazwischen aufgespannten Zelte und der Kirgise am großen Feuer. Außerdem sah ich ein Kamel und einen zweiten Kirgisen und entdeckte bald Borchers, der gerade vor einer Stunde, des Lebens in der Steppe müde, mit halbwegs geheilten Wunden von Altin Masar herausgeritten war. Er übernahm es, am anderen Tage meinen beiden Gefährten entgegenzureiten, eine Tat, die für mich an diesem Abend von unschätzbarem Werte war, denn meine Erschöpfung war groß. So konnte ich mich gleich der Ruhe hingeben, undeutlich merkte ich, wie Borchers des Morgens aufbrach, und ich schlief bis in den hellen Mittag.

Allwein und Schneider hatten am Abend wirklich noch das Ende des Gletschers erreicht, obwohl der Tag für Schneider sehr arg gewesen sein muß und er gerade bei dem Marsche über den ungemein unebenen Gletscher sehr viel auszuhalten hatte. Sie lagerten unterhalb des Gletschers I und traten von dort ihren 8. und letzten Marschtag



Mezzotinto Brudmann

Mittleres Saukdaratal gegen Osten, Mitte Piz Lenin, 7130 m

an. Verabredungsgemäß gingen sie bis zur Prallstelle des Flusses. Dort nahm sie Borchers mit dem Kirgisen, Dario und 2 leeren Pferden in Empfang. Am Nachmittag des 28. September, um 4½ Uhr kamen sie ins Standlager. Gleich am anderen Morgen wurde der Kamelreiter, der mit Borchers gekommen war, mit Nachricht zu Rickmers nach Altin Masar gesandt. Allein legen diese Kamelreiter in kurzer Zeit riesige Strecken zurück, und so kam schon am Morgen des 30. September ein Bote, der die Nacht hindurchgeritten war, mit den fehlenden Medikamenten herauf, um die wir gebeten hatten.

Für uns kamen einige Tage der absoluten Ruhe, und wir ließen es uns in Kusgun-Tokai gut gehen. So endete für uns die Besteigung des Pik Lenin, die der Schlusstein auf den bergsteigerischen Erfolgen der Expedition genannt werden mag und für uns das schönste und größte Erlebnis in ihrem Verlauf gewesen ist.

Am 6. Oktober waren Borchers und ich zum Photogrammetrieren auf einem 5700 m hohen Berg unweit des Lagers gewesen. Aus mancherlei Gründen hatten wir uns verspätet und standen, als die Sonne unterging noch auf einer Scharte in 5000 m Höhe. Der Pik Lenin stand drüben im Osten, kaum daß man ihn herausfand aus der Zahl der gewaltigen Berge, die um ihn lagen. Aber er offenbarte sich uns noch einmal. Als die Sonne schon unter den Horizont gesunken war und alle Berge schon lange in kaltem farblosem Schatten lagen, da ruhte noch der Schein der letzten Sonnenstrahlen auf ihm und ganz langsam, als zögerte er ein wenig, löste sich der Schimmer von seinem Gipfel.

Invalidenberg

Von Ph. Borchers

Die Erteigung des Pik Lenin war die Krönung alles Bergsteigens auf unserer Expedition gewesen, der Höhepunkt, in Metern gemessen und seelisch empfunden, war erreicht. Eine gewaltige Leistung hatten meine Kameraden vollbracht. Ich weiß es, beim letzten Aufstieg haben sie mit der Möglichkeit oder Wahrscheinlichkeit des Erfrierens der Füße gerechnet, haben auch darüber gesprochen; aber sie waren durchaus bereit, diesen Preis für die Erreichung des Gipfels daranzugeben. Eifern haben sie durchgehalten, ein Triumph des Willens über den Körper und über das, was man, wenn man umkehrt, Vernunft zu nennen pflegt.

Nach solcher Anspannung verlangten naturgemäß Körper und Geist Ruhe, vier Tage wurde eigentlich weiter nichts getan als geschlafen, gegessen und Schneiders Füße behandelt. Diese sahen furchtbar aus, bis zu den Ballen und außerdem an den Fersen Erfrierung zwischen zweitem und drittem Grade. Allwein und ich besprachen abseits miteinander, ob und wie wir Schneider nach Dsch oder Margelan in ein Krankenhaus transportieren könnten. Aber wenn er dort nun auch nach vielleicht 8—10 Eilmarschtagen anlangen würde, der Vorteil der sofortigen Spitalbehandlung war nie zu erreichen, und im übrigen meinte Allwein: „Wenn ein Chirurg ihn unter die Hände bekommt, schneidet er ihm die Füße bestimmt ab“. Die Sorge, ob ihm die Zehen oder gar Füße überhaupt erhalten bleiben würden, lastete ohnehin schwer genug auf uns. Nach langer Überlegung entschlossen wir uns, ihn ruhig in Kusgun-Tokai liegen zu lassen und nicht noch den Marschstrapazen auszuweichen, zumal er im Augenblick nicht imstande war zu reiten. Der Erfolg gab Allweins ärztlicher Entscheidung Recht. Schon nach wenigen Tagen konnte Schneider wieder seine ersten Gehversuche machen. Seine Jugend und seine fabelhafte Gesundheit ließen die Füße in einer Weise heilen, daß Allwein als Arzt und wir anderen als diesbezüglich nicht unerfahrene Laien aus dem Staunen nicht herauskamen. Nach 3 Wochen konnte Schneider zum erstenmal wieder Bergstiefel und nach 5 Wochen Stadtschuhe anziehen, im Winter 1928/29 lief er bereits wieder Schi und Ende März 1929 vollführte

Na koniec nieco własnych wspomnień z Piku Lenina. W naszym wejściu brało udział ośmioro alpinistów (Jan Franczuk, Bogdan Jankowski, Wojciech Jedliński, Jan Kielkowski, Halina Krüger-Syrokomska, Tadeusz Łaukajts, Wanda Rutkiewicz, Andrzej Zawada) z Polski oraz kilkunastu przyjaciół z Nowosybirsk, którzy całe wejście logistycznie przygotowali. Wchodziliśmy na szczyt normalną drogą od północy przez Skały Lipkina. Na wierzchołku stanęliśmy wszyscy 10.08.1970. Cała droga to tupanie w śniegu bez żadnych trudności technicznych – świetna do skontrolowania swojej aklimatyzacji.

Z całego przejścia najbardziej utknęła mi w pamięci wichura (tzw. „poziomka” wiejąca równolegle do zbocza góry), która dopadła nas na długim trawersie w ścianie, na wysokości około 6000 m. Cały czas było ciężkie torowanie, a gdy się szło za kimś, to nie można było nawet na chwilę odstawać, bo przetorowany ślad natychmiast zanikał. W efekcie po przejściu połowy zaplanowanego etapu musieliśmy założyć obóz pośredni, co przy tej wichurze również wymagało dużo pracy. Na szczęście nad ranem wiatr się uspokoił i już w lepszych warunkach mogliśmy zwinąć obóz i wyjść na grań, gdzie założyliśmy następny, w którym zaraz obudowaliśmy nasz namiot wysokim murem ze śnieżnych bloków. Z tego obozu nazajutrz weszliśmy na wierzchołek – pamiętam, że był cały w chmurach. Na końcowym podejściu musiałem stwierdzić, że z moją aklimatyzacją nie było jeszcze najlepiej i że na tym ostatnim odcinku nie mogłem nadążyć za moimi namiotowymi partnerami, Jasiem i Tadeuszem, którzy na tej wysokości byli chyba z nas wszystkich najszybsi.

Z wierzchołka zabrałem małą ceramiczną dzbanuszek, który do dzisiaj stoi na jednej z półek naszej biblioteki. Jasio natomiast zadowolony się jednorublową monetą z podobizną Lenina. Zresztą potem w bazie przegrał ją do mnie w szachy, więc mam i tę, można powiedzieć, podwójną pamiątkę.

Za wejście na Pik Lenina każdy z nas dostał odznakę (ciekawie, czy dalej są one przyznawane?) z wygrawerowanym kolejnym numerem wejścia. Od tych zdarzeń minie wkrótce 48 lat. Moja odznaka, a także jednorublowka Jasia, leżą, dobrze zabezpieczone, gdzieś w naszych górskich zbiorach. Jak tylko uda nam się je znaleźć w niezliczonych klaserach, sfotografujemy i zamieścimy zdjęcie w jednym z następnych biuletynów.



Uczestnicy wyprawy „Pamir 1970” na dworcu w Warszawie, od lewej: Wanda Rutkiewicz, Jan Kielkowski, Halina Krüger-Syrokomska, Jan Franczuk, Andrzej Zawada, odprowadzający Wojciech Rutkiewicz, Wojciech Jedliński, Tadeusz Łaukajts. Fot. Bogdan Jankowski









50 lat temu poprowadzono *Drogę Pajaków* na Kazalnicy Mięszowieckiej

50 lat temu poprowadzono *Drogę Pajaków* na Kazalnicy Mięszowieckiej

Uzupełnienie

20. przejście: 18.07.1978 Tadeusz Karolczak, Władysław Janowski.

Ponad 50 lat temu poprowadzono dwie nowe drogi w murze Trolltindene (WEGA t. III, s. 788): północną ścianą Søndre Trolltind (WEGA t. III, str. 788) i *direttissime* Ściany Trolli (Trollveggen, WEGA t. III, s. 789)

W 1967 roku na Ścianę Trolli w Norwegii wybrały się równocześnie, lecz niezależnie od siebie, dwa ostre zespoły. Pierwsi przybyli pod nią Francuzi, którzy zaatakowali przewieszoną ścianę wprost w linii spadku najwyższej kulminacji w grani muru Trollveggen. Spóźnieni Brytyjczycy, nie chcąc wchodzić w drogę Francuzom, zmienili plan i skierowali się na sąsiednią, równie przewieszoną, ale nieco niższą ścianę Søndre Trolltind. W ten sposób w sierpniu 1967 roku powstały w murze Trolltindene dwie wielkie ekstremalne nowe drogi.

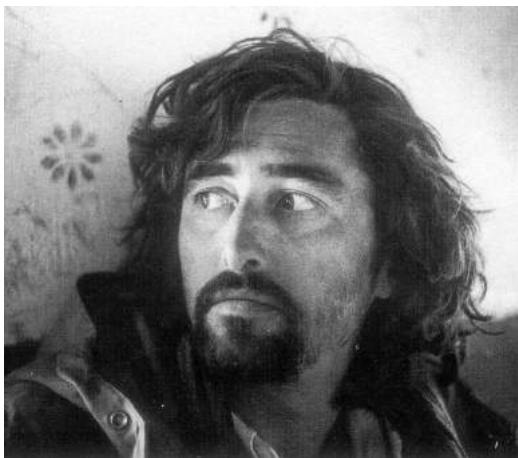
Na Søndre Trolltind: 1. przejście 14–26.08.1967 John Amatt (WEGA t. VI, str. 17) i Rusty Baillie (WEGA t. VI, str. 48). J. Amatt opisał to wejście w roczniku 1968 „Alpine Journal” – dalej zamieszczone są kopie stron z jego relacją.

Na Trollveggen: 1. przejście 1967 Yves Boussard, Jerome Brunet, Patrick Cordier (WEGA t. VI, s. 164), Claude Deck, Jean Fréhel (WEGA t. VI, str. 249). J. Brunet i J. Fréhel. Swoje wejście opisali w „G.H.M. Annales” 1966–1967 a C. Deck również w numerze 66 „La Montagne” z 1968 roku.

O bogatej polskiej działalności na tej ścianie powspominamy osobno w innych numerach biuletynu.



John Amatt



Patrick Cordier



Rusty Baillie

THE NORTH FACE DIRECT OF SØNDRE TROLLTIND¹

BY JOHN AMATT

(Four illustrations: nos. 1-4)

AFTER the ascent of the Trolltind Wall ('Trollveggen') in 1965,² it seemed to me that Norway must be the site for future developments in technical climbing. Nowhere outside America could boast such vertical granite walls and even the famous Yosemite climbs must take second place in terms of height. The Direct route to Trollveggen, which was climbed by a French party last year,³ is close on 5000 vertical or overhanging feet, which compares very favourably with the 3000-ft. bastion of El Capitan. On these walls of the Romsdal also, one can find granite climbing comparable in difficulty with anything in the world.

After Trollveggen itself, the most impressive face in the valley is the upper North face of Søndre Trolltind, which falls sheer and smooth for nearly 2000 ft. In this respect, it is even more impressive than the Trollwall, for in all of these 2000 ft. there is not a ledge large enough to hold snow after a storm. Couple with this, a long approach of 2500 ft. on Grade IV slabs, and an upper 1000 ft. of broken rock, and the proposed North face Direct route takes on quite serious proportions.

When Rusty Baillie and I arrived in the valley at the beginning of August 1967, the French were on the way to completing their climb. In many ways, it was a pity that they had to use fixed ropes on most of the wall, but there can be no doubt that some of the climbing they had experienced must have been extreme. However, their accomplishment brought to our notice the need for one thing. During the three weeks taken over the ascent, they had climbed through some very bad weather and this confirmed what Baillie and I had thought for some time; that to complete a route of major proportions in Norway, one has to be prepared to climb in any weather. With this in mind, we proposed to wear fully waterproof clothing throughout the ascent, in spite of the fact that this was bound to result in heavy condensation. We also proposed to use the modern techniques of climbing that had emerged from the Yosemite in recent years. These completely rejected the use of fixed ropes and relied

¹ See p. 101 for technical note and diagram.

² *A.J.* 71. 98.

³ *La Montagne et Alpinisme*, October 1967, p. 147.

for their success on the ability of the climbers to move quickly and safely.

The weather in August was far from good, and during a two-day 'quick look', we gained only 300 ft. of height on the difficult upper wall. Leaving the valley on August 14 as the crimson dawn was breaking, we spent long hours in route-finding on the smooth wet slabs which form the approach to the upper wall. Climbing unroped, carrying the specially designed hauling sacks weighing 40 lb. each, we felt very uncertain on the holdless slabs. At about 1000 ft. the slabs suddenly reared up into a steep buttress, and although the climbing would have been no more than Grade IV in the dry, the wet, greasy rock and the exposure were sufficient to warrant great care. At this point we evolved our 'new' technique which enabled us to make much faster progress. Leaving his heavy sack with me, Rusty led out 150 ft. of double rope and anchored it, before abseiling down to where I had belayed. As he had been abseiling down one rope, I had been climbing the other, using a jumar clamp for safety, and carrying the hauling sack. On completing the abseil, Rusty then climbed back up the second rope, also carrying his sack. The net result was one of speed and safety and the first person to reach the anchor point for the ropes had sufficient time to prepare to lead the next pitch before the second man arrived.

In this way, we quickly disposed of another 1000 ft. of Grade IV slabs and some 500 ft. of snow, to arrive at the foot of the steep upper wall. Here we became lost in the swirling mist which had been gradually creeping up on us throughout the day, and we traversed left in bad visibility, finding great difficulty in orientating ourselves in relation to the wall above. By seven o'clock, I had climbed a Grade V chimney leading to the top of a pedestal below the wall, and abseiled off leaving the ropes hanging for the following day.

In our radio contact with the valley that night, we were disturbed to hear that more bad weather was forecast, but we soon settled down to a good night's rest. We were no longer worried! We had rubbed shoulders with the problem and were eager to match our resources against its defences. However, during the infrequent clearings of the mist during the night, it was unnerving to gaze upwards at the maze of overhangs that guarded the base of the wall. This was the problem: once above the overhangs, we could expect fast progress, but even our most pessimistic forecasts could not have envisaged the extreme difficulties we were to find there.

The next day dawned clear, and we awoke with the sun as it brushed the wall at four o'clock during its morning promenade behind the nearby Romsdalshorn. All the equipment had to be sorted, the pegs carefully racked on slings, all bivouac gear and clothing packed in one hauling sack, and food for six days and twelve pints of water carefully placed in the other. Consequently it was not until five o'clock that I began to prusik up the rope left the previous night.

For climbing and prusiking, we were using a single 11 mm. perlon rope, which would be the only rope we would actually use whilst climbing. We had abandoned the traditional double rope technique and were relying on tape lie-off loops and slings to extend the pegs and alleviate rope drag. The only other rope we were carrying was a 9-mm. perlon for sack-hauling. Here, we were using another technique from Yosemite. With 150 ft. of rope, jumar clamps and a small pulley, the entire leg strength and body weight of the climber could be brought to bear. Using this method, we had no trouble in hauling both sacks together—a load of over 80 lb. in one lift.

At the end of the 150 ft. run-out, I hauled the sacks and Rusty prusiked simultaneously up the anchored climbing rope. Thus, there was no belay in the traditional sense, but the climber was able to belay himself with the two jumar clamps. At any instant, one of the clamps would be under tension, and thus, jammed on the rope, would act as a belay. This method of climbing is safe in that the standing rope is always tied to the leader's belay (which naturally must be a good one); the only danger lies from a stone falling on the rope at the moment the second man is climbing, but on a face of this verticality, there is never much, if any, dangerous stone fall.

Saving Rusty for the more difficult work ahead, I offered to lead the next pitch and was soon involved in epics of loose rock and moss in what had appeared to be an easy chimney. Indeed, it was not until I had led out 120 ft. of rope and placed ten pegs in the overhanging rock, that I emerged on a sloping ledge at the foot of the preliminary overhangs.

Here, the climbing became hard. The next 200 ft. occupied most of the day and most of our mental and physical resources into the bargain. The cracks were blind, shallow, too thin, or just plain awkward—cracks that had been formed by drainage water trickling down the grooves from the overhangs above, and cracks which contrasted strongly with the finely regular frost cracks of Mont Blanc. The pegs went in grudgingly and had to be selected with great care; at one place Baillie had to couple a knife-blade with a rurp—the Realised Ultimate Reality Piton, with a blade length of 1 cm.—which symbolised very nearly the ultimate in peg climbing. For the whole of this 200 ft. neither of us placed a peg that did not have to be tied off short with the tape loops we were carrying.

At the end of the second rope-length, I fixed a belay and swung there in my belay seat as Rusty prusiked up the rope, taking out the pegs as he progressed. No peg needed more than two hits with the hammer to loosen it. As he neared the belay, and the number of pegs between us decreased, I once more became aware of the feeling of insecurity which manifests itself and grows with alarming haste in such situations. This sensation I had often experienced in the past when hanging in étriers at a belay and was well aware that the climax would be reached when we

were both hanging from the three or four belay pegs driven into the crack in the blank wall. But I was glad when Baillie had climbed past, jerking the seemingly so insecure anchorage in the process, and moved up into the viciously overhanging chimney that blocked our progress.

The climbing was extreme. The first pitch was A₄ and made the two earlier A₃ pitches seem like child's play. Too wide to jam in any way, the pitch finally succumbed to Rusty's engineering skill with a combination of skyhook moves and large bong-bong placings deep in the slimy innards of the crack. After three hours' work, he had gained 30 ft., used up most of the skin off his knuckles, and had reached a point where it was possible to lasso a flake and pull over the small roof.

We were both soaked; our wet clothes stuck clammy to our cold skin. The water dripping off the overhangs above had taken its toll of our resources, and the blood circulation to my legs had long since been cut off by the hours of sitting in the cramped confines of the nylon belay seat. But we had reached a ledge! On de-pegging the pitch, I had pulled myself up on the anchor pegs to find Baillie fast asleep on our 'palace'—the jagged top of a flake, some 4 ft. long by 2 ft. wide. But it was a ledge, the first for 300 ft., and soon we were preparing our second bivouac.

I for one did not rest that night since the ledge was desperately uncomfortable. The best I could achieve was to jam myself down the back of the knife-edge, but the icy cold of the wet rock prohibited little more than a prolonged doze. During the night it rained; the water dripped in constant percussion off the overhangs above, and trickled in through the gaps in our bivouac bags. Already my mental resources had been lowered by the problems of the previous day, and I found myself thinking increasingly of retreat. It is always on the first or second day of a climb when this temptation is greatest. Once conquered, you realise that it is easier to climb upwards, you become as one with your vertical environment and you begin to marvel at the difficulties which you had previously feared. It is just one more of the complex internal motivations which I shall never understand, but which lead people on to make climbs that are more difficult and more strenuous than ever before.

Next morning, August 16, the weather showed obvious signs of deterioration and glad of the excuse to retreat, we began the first of the long abseils to the valley below.

For the next week, we rarely saw the mountain tops as the rain swept through the valley in vicious torrents. No one climbed, for all were well aware of the disastrous physical effects of such conditions. But eventually the weather cleared and the evening of August 23 found us once more at our high point. Throughout the day, we had retraced our steps, having to place all the pegs we had previously removed in our wish to leave the climb clean. From the top of the flake, we fixed the first of the 150 ft. ropes and abseiled down, leaving the second rope hanging from the

belay below. A good night's sleep on the bigger ledges at the foot of the wall was worth any amount of extra effort involved the next day.

The following morning, we were awake at 3 a.m. and two hours later had prusiked up the 300 ft. of hanging rope with our loads. Leading off from the flake, I traversed left on very small holds before placing a large angle peg in a pocket in the rock. Hammering the peg only fractured the rock around, but by dint of careful weight distribution, it held as I stood up and placed a rurp behind a flake. As I moved up onto the rurp, the bottom peg pulled out of its pocket and tinkled down the rope towards Rusty, who was watching with an expression of impending doom on his face. A fall here would have resulted in a wild swing across the face, a fact of which I was well aware. But there seemed to be no place to put a peg; all the cracks were blind and I had left the bolt bag behind. But we still had skyhooks, those little steel hooks which were to save us time and time again on the climb.⁴ So a skyhook move it had to be, placed carefully on a little rugosity in the rock and then even more carefully stood on. A knife-blade and two more tied-off pitons led to an ideal placing for a crack-tack which, although it only entered the rock for $\frac{3}{4}$ in. proved to be the best peg on the pitch. Above, a small overhang fell to more skyhook moves and led to sustained Grade VI free-climbing and A3 pegging up a fine groove leading to 'The Roof'. Here I took a hanging stance below the 25-ft. overhang and relaxed back in my hammock. Certainly the hardest aid lead of my experience, it was just another pitch on this wall!

As Rusty began to prusik up the anchored rope, we became lost in swirling mist and I was left to catch drips from the overhangs to augment our limited water supply. Before long, the constant drainage had soaked through even my heavily proofed yachting anorak and I began to shiver in the cold. Below me, the sound of hammer upon peg gradually came closer and soon the Helly-Hansen clad figure of Baillie appeared at the foot of the groove. Slowly he climbed the rope, pushing the clamps up, before sitting back as he unclipped the karabiners and proceeded to remove each peg in turn.

Above, the way was blocked by the immense 25 ft. roof. But the cracks were good! Whereas down below we had to contend with blind, irregular cracks, here the cracks were pronounced and deep. Now it was just a matter of selecting the right peg and placing it with care. But even so, it came as a complete surprise when Baillie knocked off the roof in thirty minutes of A2 pegging.

Now we could really get cracking. Coming after the last two pitches of A4, it came as a great tonic and we were both full of confidence and jubilation as we climbed on through the swirling mists. At 6.30 p.m. I climbed a 3-ft. overhang and found myself below a small ledge, the first since we had left the top of the flake that morning. For well over twelve

⁴ See illustration no. 2.

hours, our world had been limited to a few square feet of rock, our only foothold being pegs driven into the rock, and in my haste to reach the ledge, I almost fell off as I pushed the free climbing to the limit. A stupid mistake, it would have meant a bad fall of 40 ft. if I had slipped.

The bivouac ledge was small, but we slept well as the exhaustion of the day's climbing overcame the discomfort. Above us now lay 500 ft. of difficult climbing leading to a long system of ledges which cut right across the face. Beyond these ledges lay another 1500 ft. of climbing, but we did not envisage any problem. The hardest climbing was, in fact, below us now. The more height we gained, the better the climbing and the more impressive the situations. Sensationally exposed as it was, we were now beginning to enjoy the climbing and we could relax in the security of our perch under the stars as we awaited the pale golden glow of the dawn skies which would herald the coming day. The hardships were past, the rock was dry and firm, the cracks good and the overhangs below. We were becoming accustomed to living in this vertical world and precaution was becoming reflex. But we had to be wary now of over-confidence.

The following morning, as I was preparing to leave the bivouac, I unclipped my helmet from the karabiner where it had hung securely all night. Next second, it was bouncing down the face, touching the rock once below my feet and then sweeping down in one huge arc before landing on the slabs at the foot of the climb. Now lost in mist, I could only trace its fall by sound as it bounced down a further 2000 ft. of slabs to the valley floor. I had plenty of time to reflect on the consequences of this mistake, the result of familiarity, which could well be fatal.

That day, August 25, we climbed over 500 ft. up a magnificent line of grooves leading in a direct line towards the summit. Surely there could be no more aesthetic line in the whole of the Romsdal. Never were we in trouble with route finding. Pitch followed pitch in logical sequence, groove followed groove, crack followed crack as we overcame the last small overhangs leading to the ledges at 1500 ft.

At 6.15 p.m. that night, Rusty reached this system which was much smaller than we had imagined. Nearby, we were surprised to find a huge detached flake, which was promptly dubbed the 'Finger of Fate'. Here, it was encouraging to find a pitch which could be climbed free, as behind the flake there was a chimney leading to more grooves and corners up to the final barrier of overhangs. Behind the flake, also, we found an ideal bivouac spot, safe, sheltered and warm, and perfect for slinging the hammocks.

The 26th dawned clear, with hardly a cloud to blemish the clear blue desert of a sky which stretched into infinity above our heads. And what a view! Mile upon mile of snow-capped peaks and faces, blending together in an unforgettable mosaic of colour. Surely this is one of the

joys of mountaineering; beauty such as this only the eye of a camera can convey.

For the last time, we fed on our high-calorific diet of peanuts and raisins, washed down with diluted rose-hip syrup, and prusiked up the ropes to the top of the flake, hauling the now lighter sacks behind us. At 4.30 a.m., just as the sun emerged from behind the stark outline of the Romsdalshorn, Baillie began work on the first artificial pitch which had been abandoned after 30 ft. the previous night.

Leading out 130 ft. of rope, and belaying in his nylon seat, he hauled the sacks as I followed up the rope. Depegging was easy, but all the pegs had been firm. All were perfectly placed in the jagged crack; none would have pulled out under a fall. But in Baillie's own words: 'That was one of the most enjoyable pitches I have ever climbed!'. The pitch reinforced my general impression of the climb.

Nowhere before had either of us found climbing such as this. On the one hand, it was certainly the hardest climb that either of us had ever done. Indeed, the two A4 pitches in the lower reaches of the face were the hardest technical leads that either of us had made. But on the other hand, the climb was also providing some of the most sensational and enjoyable pieces of climbing that we could ever wish for. The situations were often exceptional, each new problem worthy of a climb in its own right.

Above lay a fiercely overhanging chimney, arching out for 10 ft. into the sky above our heads. Below lay a sheer drop of 2000 ft. and a feeling of exposure that was strengthened by a further drop of slabs below the foot of the wall. Placing two pegs, I reached out and swung up on huge jugs, the rope hanging out from the rock above Baillie's head. The further I climbed, the further out hung the rope, the more obvious the drop. But this was climbing! After 2000 ft. of peg climbing, placing over 500 pitons, it was a thrill to be able to climb free, and to feel the solid rock flow beneath your hands and feet. I could not find the courage to stop and place a peg; nor was one necessary. Comparable in difficulty to 'The Sloth', Don Whillans's famous climb at the Roaches, this magnificent pitch finally fell to 100 ft. of superb Grade V climbing. But once more, it was just another part of this fine route.

Above lay another overhanging chimney and at last we found easy ground. By 11 a.m., we were sitting on scree ledges and debating how to tackle the remaining 600 ft. to the top. Now carrying the hauling sacks, we rapidly disposed of the easier rock, but after two hours, we were still far short of the summit. The climbing was easy, but the rock was desperately loose and dangerous and we were tending towards relaxation as we neared our goal. The most dangerous period of the climb was now and we had to exercise great care to overcome the anticipation which precedes success.

And then followed near disaster! While removing a belay peg, my

hammering loosened a huge flake which detached itself from the rock above. Next second, without realising what had happened, I found myself dazed by the force of the impact on my unprotected head. The whole weight of the 5-ft. square block had caught me on the head, glanced off my shoulder and disappeared down the face with ever increasing reverberations. Above, Baillie had instinctively tightened his grip on the rope, but the expected fall had never come. In fact, I was still hanging from my other peg; my head was swirling, I had a searing pain in my left shoulder and I carried a bruise which was to last for weeks. But this apart, I was unharmed. I had been lucky! But my previous carelessness in losing my helmet had almost been fatal.

From now on, I could not lead and the weight of the responsibility fell on Baillie's shoulders, which were eminently suited to take it, having been broadened by many similar loads in the past. Even reaching his belay was an epic! My mental resources had been temporarily shattered. The simplest climbing became hard, the firmest rock became loose. But confidence is instilled through familiarity and after a short rest, I was able to climb safely once more.

On the top, we were greeted by two of our Norwegian friends, who had come up specially to bring us the previously promised cognac. Epics of photography followed, as our highly trained commercial minds got to work. Pressmen were waiting to be satisfied, there was Norwegian T.V. to perform for, but most of all there was our own ego to boost.

But what remained of the climb? A line on a photograph? A lot of words on a piece of paper? No, there was more. There was a deeper understanding of ourselves, of our own weaknesses and limitations. We had established a comradeship which could only be experienced when one had climbed on the knife-edge of danger with someone. And our friendship had been strengthened by the mutual feeling and intimate understanding that is experienced through the conquering of fear. But, after all, is this not what climbing is all about? Or is it just a part . . . ?



Photo: H. Sodahl, Andalsnes]

THE EAST WALL OF THE MAIN TROLLTIND RIDGE, WITH THE TROLLTIND WALL (CENTRE) AND THE NORTH FACE OF SØNDRE TROLLTIND (LEFT) IN SHADOW. THE ROUTES MARKED ARE: (1) NORTH FACE DIRECT OF SØNDRE TROLLTIND (AMATT-BAILLIE 1967); (2) TROLLTIND WALL—ENGLISH ROUTE (AMATT-HOWARD-TWEEDALE 1965); (3) THE 1931 "FIVA" ROUTE TO STORR TROLLTIND; (4) FRENCH DIRECT ROUTE (TROLLTIND WALL) 1967; (5) EAST PILLAR OF TROLLRYGGEN (HOIBAKK-HEEN) 1958. (SEE p. 1).

(No. 1)

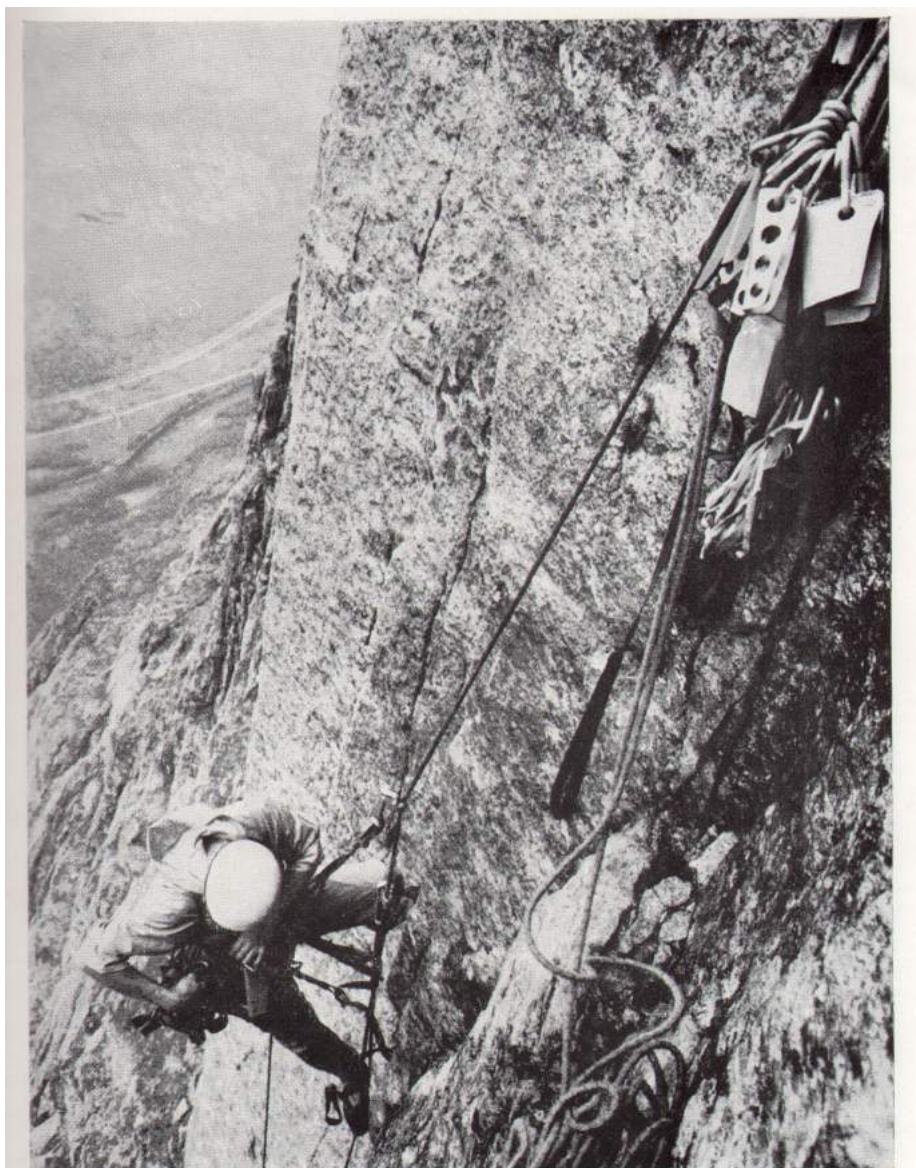


Photo: John Amatt]

PRUSIKING UP THE ANCHORED CLIMBING ROPE: THE SECOND PITCH OF A.3. ON THE UPPER WALL OF THE SØNDRE TROLLTIND.

(No. 3)



Photo: John Amatt]

RUSTY BAILLIE SITTING ON THE FIRST BIVOUAC LEDGE ON THE NORTH FACE OF THE SØNDRE
TROLLTIND: LOOKING BACK ACROSS THE SECOND PITCH OF A.4.

(No. 4)

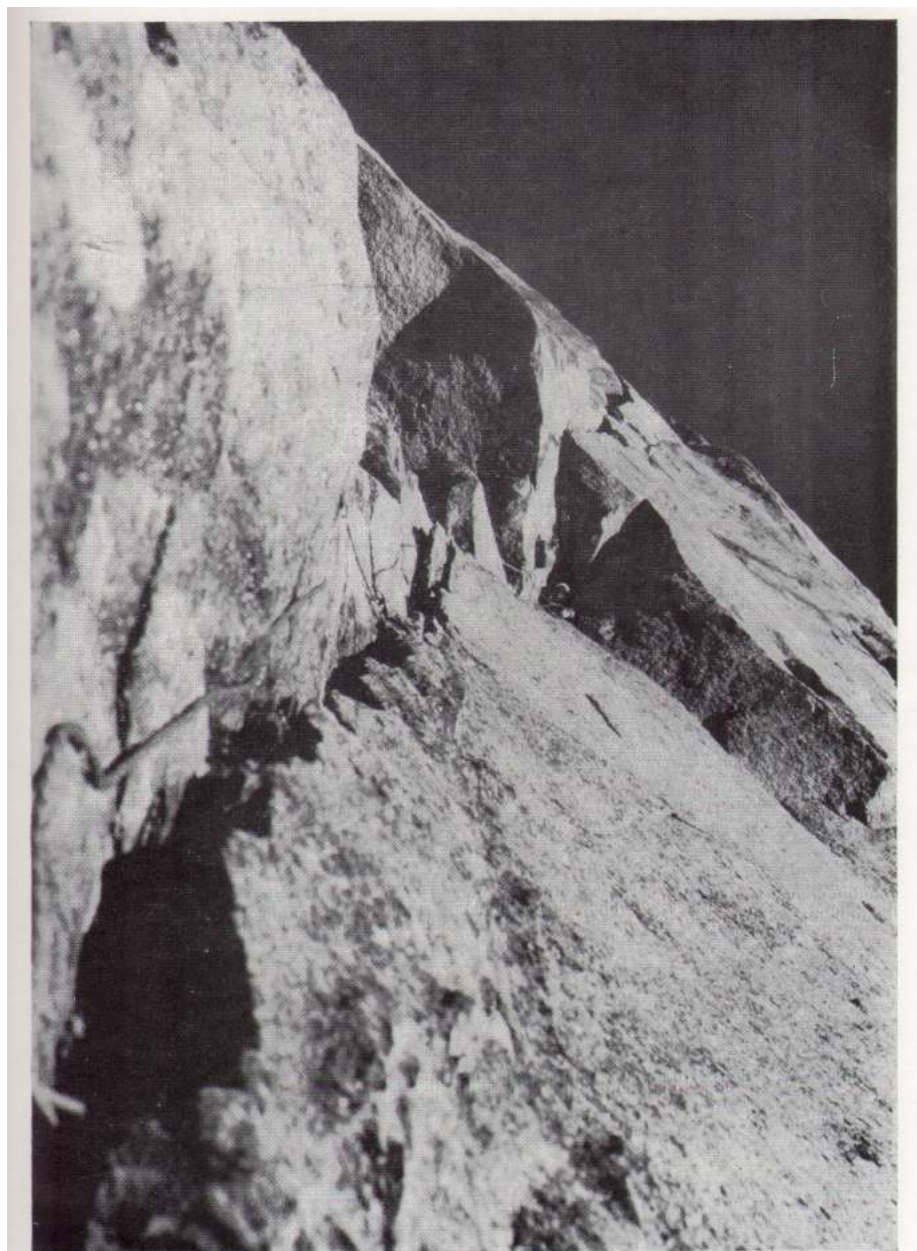


Photo: N. J. Estcourt]

THE DIAGONAL CRACK ON THE SOUTH FACE OF THE FOU. (SEE p. 12).

(No. 5)

FACE NORD DIRECTE DU TROLLRYGGEN

par J. Brunet et J. Fréhel.

A la mi-mai, c'est décidé, nous partons au mois de juillet ouvrir une voie directe dans la paroi nord du Trollryggen. Nous n'avons, à ce moment-là, aucun renseignement précis sur cette immense paroi ; seuls quelques articles assez romancés parus dans « La Montagne » parlent d'une grande paroi verticale de granit de 1 500 m de hauteur. En 1965, deux itinéraires ont été ouverts, l'un anglais, l'autre norvégien qui, au dire même des ascensionnistes, évitaient le problème de la face. L'équipe est rapidement constituée au sein du Groupe de Haute Montagne par cinq camarades de longues date : Yves Boussard, Jérôme Brunet, Patrick Cordier, Claude Deck et Jean Fréhel. La Fédération Française de la Montagne nous donne son appui, indispensable à la réalisation de notre projet.

Le Trollryggen se trouve dans la vallée de Rømsdal, entre Bergen et Trondheim, à 400 km au nord d'Oslo. La ville la plus proche est Andalsness, au bord d'un fjord, au débouché de la vallée de Rømsdal.

Notre départ est fixé au 17 juillet et nous disposons donc d'un mois pour organiser cette expédition et envoyer les vivres et le matériel qui nous seront nécessaires ; le 15 juin, après bien des soirées de préparation, 400 kg de bagages sont confiés à la S.N.C.F. : 1 000 m de cordes, 250 mousquetons, 450 pitons, habillement, couchage, vivres de course et matériel individuel.

Le 17 juillet, nous nous retrouvons face à notre objectif et installons le jour même le camp de base au bord d'une rivière, avec vue directe sur notre montagne. Le lendemain, pendant que Yves et Patrick se mesurent aux premières longueurs de corde, nous montons au pied de la paroi une tente qui servira de dépôt de matériel et éventuellement d'abri. Du camp de base, à la lunette d'approche, nous pouvons repérer notre itinéraire et nous doutons rapidement des 1 500 m annoncés ; par la suite, des relevés d'altimètre à l'attaque ramèneront le dénivelé de l'escalade à 1 200 m. A la fin de ce premier jour, une vacation radio nous apprend que Yves et Patrick ont atteint le point extrême des tentatives précédentes. Ils butent déjà contre de grosses difficultés artificielles et, demain, ils auront besoin de trois pitons à expansion pour franchir une dalle lisse. Le deuxième jour, ils viennent à bout de ce verrou qui avait arrêté tous nos prédécesseurs ; quand Jérôme et Jean les relayent, ces derniers peuvent atteindre les terrasses qui marquent le premier quart de la paroi. Une petite tente est alors installée au pied du deuxième mur. D'en bas, à la lunette, nous repérons un système de dièdres et de fissures qui doivent permettre d'atteindre, 300 m plus haut, une seconde vire ; ensuite un mur jaune surplombant mène à la grande zone de surplombs qui barre le haut de la face. Dans cette dernière partie haute de 500 m, nous ne pouvons trouver aucune faiblesse apparente. Patrick et Claude se lancent à l'assaut du deuxième mur et bagarrent pendant deux jours dans un terrain très raide et compact. Grâce aux cordes fixes, ils peuvent redescendre coucher sous la tente du camp I, sans risquer de perdre trop de temps à la remontée du lendemain. Ils ont ainsi gagné 200 m, Yves et Jean les relaient et deux journées sont encore nécessaires avec un

bivouac sur étriers pour atteindre la deuxième terrasse. Au total, l'escalade du deuxième mur aura nécessité quatre grandes journées.

Nous sommes au pied du troisième mur et nous avons la conviction que, sans l'équipement en cordes fixes, il serait imprudent de s'engager plus avant sans certitude de succès. Claude et Jérôme remontent pendant toute une journée les cordes fixes jusqu'à la deuxième vire avec un important matériel pendant que Yves et Jean redescendent. La nouvelle cordée couche sous la deuxième tente, dans la face, et attaque le lendemain de bonne heure. Une progression rapide dans du bon rocher raide mène en deux jours à deux longueurs des grands toits. L'itinéraire n'est pas évident pour la suite et le manque d'eau les contraint à redescendre. Patrick et Yves espèrent alors dépasser les surplombs et poursuivre vers le sommet ; rejoints par les autres, ils mettent deux jours entiers avec un bivouac sur étriers pour sortir des surplombs. Ils sont alors à 250 m du sommet, mais la pluie, qui ne les avait pas gênés sous les toits, redouble et les oblige à une retraite périlleuse. Claude et Jean, qui repartent une fois les éléments calmés, sont bien décidés à gagner le sommet ; dès qu'ils auront la certitude du succès, les trois autres les rejoindront en déséquipant derrière eux à partir de la deuxième vire.

Nous pensons tous, en regardant la paroi du camp de base, qu'au-dessus de la barrière de toits les grandes difficultés seraient terminées et la sortie relativement facile. Hélas, au-dessus des toits, Claude et Jean vont trouver des dalles lisses et compactes et il leur faudra une journée pour faire deux longueurs de corde. Le soir, ils bivouaquent sur étriers, mais la suite paraît plus sympathique, et ils ont la certitude que le lendemain le sommet sera proche. Il faut donc que les trois autres démarrent. Le 9 août, tout le monde est dans la paroi et on peut voir du camp de base la cordée poursuivante grimper à toute allure le long des cordes fixes et rattraper la cordée de tête. Le soir, la jonction est faite au bivouac, à trois longueurs du sommet. Le 10 août, à dix heures, nous débouchons tous au sommet, les uns après les autres. Un comité d'accueil franco-anglo-norvégien nous y attend avec une épicerie doublée d'un « vins et liqueurs » comme dirait « le Grec » : cognac, gâteaux, drapeaux, et un peu d'eau aussi...

Nous venons de réussir notre plus grande escalade et ingurgitons nourriture et surtout boisson avec la joie que l'on imagine.

Le déséquipement de la face ne sera pas sans surprises en ce qui concerne les cordes fixes. Pour éviter un accident du genre de celui dont fut victime notre ami John Harlin, nous avons décidé de ne jamais remonter en solitaire le long des cordes. Nous avons donc toujours été encordés lors des remontées aux jumards. Nous avons également prévu de multiplier les points d'attache des cordes pour limiter la chute en cas de rupture ; à l'usage, cette technique se montra impraticable dans les zones surplombantes par le nombre de manœuvres aux jumards qu'elle nécessitait. Nous fûmes donc amenés dans certaines parties à espacer les points d'attache de 40 à 50 mètres. Par contre,

Ci-contre :
Face nord du Trollryggen
A gauche : itinéraire britannique.
Au centre : itinéraire français.
A droite : itinéraire norvégien.





Au-dessus du verrou

à chaque changement d'équipe, l'équipe descendante prenait soin de vérifier l'état des cordes, en particulier aux endroits où elles frottaient contre le rocher.

Nous en étions ainsi arrivés à une certaine tranquillité d'esprit, après avoir constaté que l'usure n'était pas désastreuse. Quelle ne fut pas notre surprise, et combien désagréable rétrospectivement, de découvrir en déséquipant que les gaines étaient pour la plupart sectionnées au niveau des points d'attache. Les mouquetons Gamet que nous avions utilisés pour attacher les cordes fixes ont un bord intérieur assez tranchant, et les tractions répétées des grimpeurs avaient entraîné la rupture des gaines...

Certains se demanderont si un tel objectif relevait d'une expédition et si les moyens employés, directement inspirés des méthodes américaines, n'étaient pas disproportionnés avec la paroi. L'expérience nous a précisément montré que, sans cette préparation et cette organisation, nous aurions probablement échoué ; pour des questions de moral, d'abord : pour des raisons de prudence, aucune cordée n'oserait s'engager dans le troisième mur surplombant, en coupant ainsi la retraite sans savoir si les grands toits sont praticables. Ensuite, il est à peu près certain qu'une équipe partant directement vers le sommet serait obligée de prévoir une douzaine de jours de vivres et d'eau, charge à ajouter à ajouter à un matériel plutôt conséquent.

À une époque où les parois des Alpes sont sillonnées de tous côtés par des itinéraires plus ou moins directs, les amateurs de premières sont amenés à chercher plus loin des terrains de jeu. Il n'est pas encore dans les mœurs d'aller passer ses vacances aux Andes ou en Himalaya comme on va à Chamonix ou à Cortina, et on ne trouve pas sur place le ravitaillement et l'aménagement touristique de nos Alpes ; la seule solution est alors la petite expédition à cinq ou six.

Cette formule d'expédition légère rend accessibles certains objectifs difficilement réalisables par des cordées individuelles et apporte, de ce fait, un certain renouveau à l'alpinisme traditionnel. Tout doit alors être organisé et prévu avant le départ, tant le matériel spécialisé que la nourriture. Un autre aspect de l'alpinisme dans un pays inexploré ou peu exploré du point de vue alpin est le problème de la sécurité. En cas d'accident, on ne peut attendre de secours que de soi-même, et nous en avons indirectement fait la démonstration en Norvège. Une cordée de deux Allemands a été victime pendant notre séjour d'un accident lors de la répétition de l'itinéraire « Rimmon route » ouvert en 1965 dans la paroi du Trollyggen par une équipe anglaise. Dans un rayon de 100 kilomètres autour d'Andalsness, il n'y avait pas d'alpinistes en mesure de réaliser rapidement le secours pour des raisons de technique ou de matériel. Le matériel amené de Paris, cacolet, attelles gonflables, nous a permis de ramener le blessé dans la vallée en vingt-quatre heures. Mais nous nous demandons encore ce qu'il serait advenu si nous n'avions pas été là avec notre matériel ! Les postes radio se sont alors révélés des auxiliaires indispensables pour la coordination du sauvetage. S'il était arrivé pareille mésaventure à l'un d'entre nous, il aurait fallu évacuer le blessé par nos propres moyens, et c'est alors qu'une équipe minimum de quatre grimpeurs est nécessaire.

L'alpinisme norvégien est actuellement en plein développement et la situation sera certes différentes dans quelques années, de sorte que nos successeurs pourront envisager l'ascension de notre voie avec une autre optique. Il sera déjà plus facile de prévoir le temps nécessaire à l'ascension, et les candidats pourront donc réduire le matériel à emporter au strict minimum. Nous espérons bien que dans quelques années la voie sera en grande partie équipée et parcourue en quelques jours par des cordées individuelles. Ce sera alors une escalade artificielle granitique sans rivale en Europe.



Trollryggen directissime nord

par Claude DECK

La renommée grandissante des parois norvégiennes du Romsdal, jointe à notre désir commun de vivre l'aventure d'une ascension nouvelle, furent les bases de notre projet nordique. Mais l'origine en est d'abord le réel souci, pour notre génération, de trouver des terrains de jeux nouveaux, puisque les montagnes de nos Alpes déjà très explorées, sont maintenant presque entièrement acquises à un alpinisme classique.

Trollryggen : Le nom évoque les diables de la légende scandinave : vêtus de guenilles, visages fri-

DE GAUCHE A DROITE : TROLLRYGGEN ET
ITINÉRAIRES NORVÉGIEN 1965, FRANÇAIS
1967, BRITANNIQUE 1965. × EMPLACEMENT
DE L'ACCIDENT DU 26 JUILLET 1967.
1 : BRUDGOMMEN. 2 : STORE TROLLTIND.

pés et hideux, ils peuplaient, au temps viking, ces montagnes perdues au fond de fjords glacés et brumeux. La légende nous rapporte que, durant les longues nuits d'hiver, descendant dans les vallées en bandes furtives, les trolls s'attaquaient aux imprudents voyageurs égarés. Parfois, l'été, on peut encore en voir courir sur les crêtes curieusement déchiquetées de ces montagnes, le plus souvent les jours où, mêlant aux arêtes, nuages et soleil, le vent élabore des formes éphémères.

Trollryggen printemps 1967, c'est surtout une formidable paroi vierge : 1 200 mètres de granit rigoureusement vertical. Cette face est l'élément majeur de la grande muraille du Trolltind, l'une des plus importantes de Norvège, qui déploie sur des kilomètres parois et piliers. Architecture d'une étonnante audace qui forme le versant est de la vallée du Romsdal.

Deux itinéraires parcourent déjà le versant nord de la montagne, une voie norvégienne à gauche, et, à droite, la célèbre Rimmon-route, belle réussite de l'alpinisme britannique. Ces ascensions de difficultés extrêmes nécessitèrent un grand nombre de bivouacs et de journées d'escalade, mais en empruntant des cheminements de moindre résistance, elles évitèrent la face proprement dite.

Dans celle-ci, plusieurs tentatives, rapidement arrêtées, attestaient l'importance et l'actualité du problème : trois murs séparés par deux légères coupures forment la première partie de la face haute de 900 mètres ; au-dessus du troisième mur, une importante avancée de toits horizontaux donne accès à la partie terminale formée de dalles lisses et verticales. Par l'incomparable raideur de son granit, par l'envergure de l'itinéraire à trouver, et la situation climatique du site, la face nord du Trollryggen posait au monde de la montagne un problème, semblait-il, sans équivalence en Europe.

Ce ne fut, à l'origine, qu'une simple intention, suscitée par la lecture de plusieurs récits sur les parois du Romsdal, mais pour tenter cette escalade il fallait réunir une équipe de rochassiers aguerris aux ascensions d'envergure et connaissant suffisamment les techniques de l'alpinisme moderne. Ceci pour savoir adopter une politique souple, la seule possible en terrain peu connu et dans ce climat particulier. De plus, les rares photographies que nous possédions laissaient présumer qu'il allait nous falloir utiliser d'importants moyens artificiels. Ces conditions envisagées, l'intention devint projet et nous fûmes rapidement cinq camarades du Groupe de Haute Montagne suffisamment disponibles et décidés pour tenter l'aventure : Yves Boussard, Jérôme Brunet, Patrick Cordier, Jean Fréhel et moi-même. Le projet : une expédition légère assurant son entière autonomie, c'est-à-dire deux cordées indépendantes pouvant s'appuyer en cas de besoin. L'accord et l'aide de la Fédération Française de la Montagne firent du projet une réalité, et quelques semaines plus tard, sacs et caisses sont acheminés par voie ferrée vers notre destination. Tout a été prévu en fonction de l'imposante dimension de la montagne et du climat, un des plus humides du monde.

Juillet 1967.

Jérôme a effectué le trajet par la route et nous attend à notre descente d'avion. Il a préparé notre discrète installation dans la vallée et ce sont donc de tranquilles touristes qui découvrent Andalsnes, la petite capitale de l'alpinisme nordique. Mais notre impatience est trop grande pour supporter tout intermède touristique et Jérôme doit bien vite nous diriger vers notre futur terrain de jeu, jeu

qui consiste à forcer un chemin parmi toutes les incertitudes de la montagne, choisie précisément pour la qualité de ses à-pics. Ainsi, c'est dans la conception et l'audace de l'entreprise que s'épanouit notre idéal d'aventure et d'action.

Une route sinueuse s'enfonce dans la vallée très encaissée. Enfin, la grande paroi nous apparaît superbe et impressionnante dans la puissance de son seul jaillissement. Telle nous l'espérons, invulnérable et mystérieuse derrière son léger voile de brume ; joyau enchâssé dans le royal couronnement du Trolltind.

Il faut abandonner la voiture après quelques kilomètres d'un chemin terreux. Un sentier qui longe un torrent à travers bois nous mène à une clairière : le futur camp de base. Là, nous sommes au pied de la muraille, séparés d'elle seulement par une raide pente d'éboulis haute de 600 mètres. Ici, on commence à prendre conscience des dimensions du paysage ; plus haut, la vallée s'étrangle entre le pilier est du Trollryggen et le Romsdalshorn, haute sentinelle faisant face au formidable déploiement du Trolltind qui se poursuit très loin vers le sud. Au-dessus de nous, prenant naissance le long du pilier est, la muraille s'oriente d'abord plein nord ; c'est l'endroit où elle est la plus haute, la plus raide, la plus sévère. Puis, s'incurvant jusqu'à faire face au sud-est, elle enferme un immense cirque de dalles inclinées, polies par la glace, avec, à sa base, un pierrier instable. Ensuite, la paroi retrouve son orientation est originelle et perd peu à peu sa puissance pour mourir à l'entrée de la vallée.

Jérôme a déjà beaucoup travaillé, le matériel est déposé au début du sentier, l'inévitable portage a débuté. Il nous apporte également des informations : les alpinistes norvégiens sont dans la région, les

LA FISSURE D'ATTAQUE





SOUS LA DEUXIÈME VIRE



VERROU DU MUR INFÉRIEUR

Anglais annoncés. Tout cela nous incite à une action rapide. Déjà, nos pensées vagabondent et nous imaginons le futur cheminement de l'ascension. Tard dans la soirée, le camp est déjà bien installé. 23 heures : il fait encore très clair dans ce pays où le soleil ne se couche pas toujours. Pour nous, tout ceci est vraiment inhabituel. De temps en temps, des tranches de névés suspendus se détachent et s'écrasent dans le pierrier, provoquant de courtes avalanches. Le bruit sourd et sinistre de l'explosion nous parvient quelques fractions de seconde après, suivi par le roulement prolongé de l'écho mêlé aux écroulements des pentes d'éboulis. Le tout est voilé un instant derrière l'épais nuage de neige pulvérisée par le choc. Mais lentement l'œil et l'oreille s'adaptent à ces dimensions nouvelles.

La nuit s'installe enfin, mais elle ne sera qu'un court intermède avant l'aube qui s'annonce, rougeur déjà naissante en direction du grand nord. Nous sommes réunis autour d'un feu de bois : c'est l'heure des décisions. Nous attaquerons en pleine paroi. La progression sera la plus directe possible vers le sommet, la structure du rocher semble d'ailleurs être favorable. Les pitons, au fur et à mesure de notre progression, seront enlevés et remplacés par des cordes fixes jusqu'au point où nous serons certains de pouvoir sortir vers le haut. Nous avons trois semaines pour réussir, il nous faudra donc grimper même les jours de mauvais temps. D'un commun accord nous optons pour l'utilisation de mesures de sécurité raisonnables, quels que soient les impératifs de l'escalade. Demain, deux d'entre nous monteront en reconnaissance pour trois jours. Yves Boussard et Patrick Cordier, très impatients, partiront les premiers ; les autres établiront un petit camp au pied

de la paroi et termineront l'installation du camp de base. Lorsque notre première journée norvégienne s'achève, une aube nouvelle est déjà bien avancée.

Lundi 24 juillet : dans le premier mur.

Yves et Patrick ont déjà bien progressé. De l'attaque, quelques longueurs faciles leur ont permis d'atteindre la limite supérieure des tentatives précédentes ; ils ont suivi le seul cheminement possible de ce premier ressaut constitué par des dalles lisses qui échouent sous des surplombs compacts et gluants. De l'extrême point exploré, par une traversée en pleine dalle, à l'aide de pitons perforés, ils ont réussi à rejoindre une fissure au fond d'un dièdre encaissé. Mais cette fissure en surplomb les retient durant de longues heures : 40 mètres encombrés de lames de granite suspendues et instables. Puis la progression toujours artificielle nous conduit à ce que nous espérons être un premier système de vires, donnant accès au mur médian. En fait, ce ne sont que 60 mètres d'une zone moins raide, qui séparent les deux ressauts, et ce n'est qu'au pied du deuxième mur que nous avons trouvé un replat susceptible de recevoir notre petite tente de paroi.

La tente fournit le refuge indispensable à une cordée de deux ; c'est notre précieux bivouac I, confortable puisqu'il comporte duvets et réchauds. Jusque là nous étions obligés, chaque soir, de redescendre au camp avancé pour trouver repos et vêtements secs. Pour l'instant, avec la pluie, il n'est pas question de passer la nuit sans la protection d'une tente. Les conditions climatiques ne sont pas du tout favorables, elles rendent notre progression difficile car la pluie froide est très éprouvante. Elle nous a même fait réviser notre technique d'escalade : la cordée de pointe assure désormais la progression et l'équipe-

ment en cordes fixes, quel que soit le temps ; dès qu'elle est mise hors d'état de continuer, elle est immédiatement relayée par une équipe plus fraîche. Dans la vallée, la nouvelle de notre tentative a provoqué une belle agitation. Au début, beaucoup de surprise, un peu de désillusion pour certains, mais nous ne sommes qu'au tout début d'une entreprise à l'issue incertaine, et les conditions ne nous permettent aucun optimisme.

Le camp de base, malgré l'humidité, arrive à survivre sous la direction des deux camarades féminines qui nous ont accompagnés ici et qui ont pris l'intendance en mains.

Mercredi 26 juillet : dans le mur médian.

Beaucoup de monde dans la paroi : depuis hier, deux cordées genevoises effectuent la troisième ascension de l'itinéraire britannique suivies par une cordée allemande qui a attaqué hier. Depuis lundi, épargnés par la pluie, Patrick et moi sommes dans le mur médian, 150 mètres au-dessus du bivouac I.

Nous équipons un grand dièdre qui semble balayer tout le mur. L'escalade entièrement artificielle se déroule sur un rocher noir, solide mais dépassant légèrement la verticale. Dans ce ressaut nous attendent beaucoup de fissures bouchées par de la mousse, ce qui ralentit quelque peu la progression. Du camp de base, nos trois compagnons s'apprentent à ravitailler le bivouac I. Nous avons complètement abandonné l'utilisation du camp avancé, car bien qu'il ait été protégé derrière un monticule, deux gros cailloux ont pénétré à l'intérieur de la tente et laissé deux beaux impacts dans les toiles. D'ailleurs, sa situation dans un pierrier croulant, à côté de névés menaçants, posé sur des dalles lisses et inclinées, ne nous permettait qu'un sommeil inquiet.

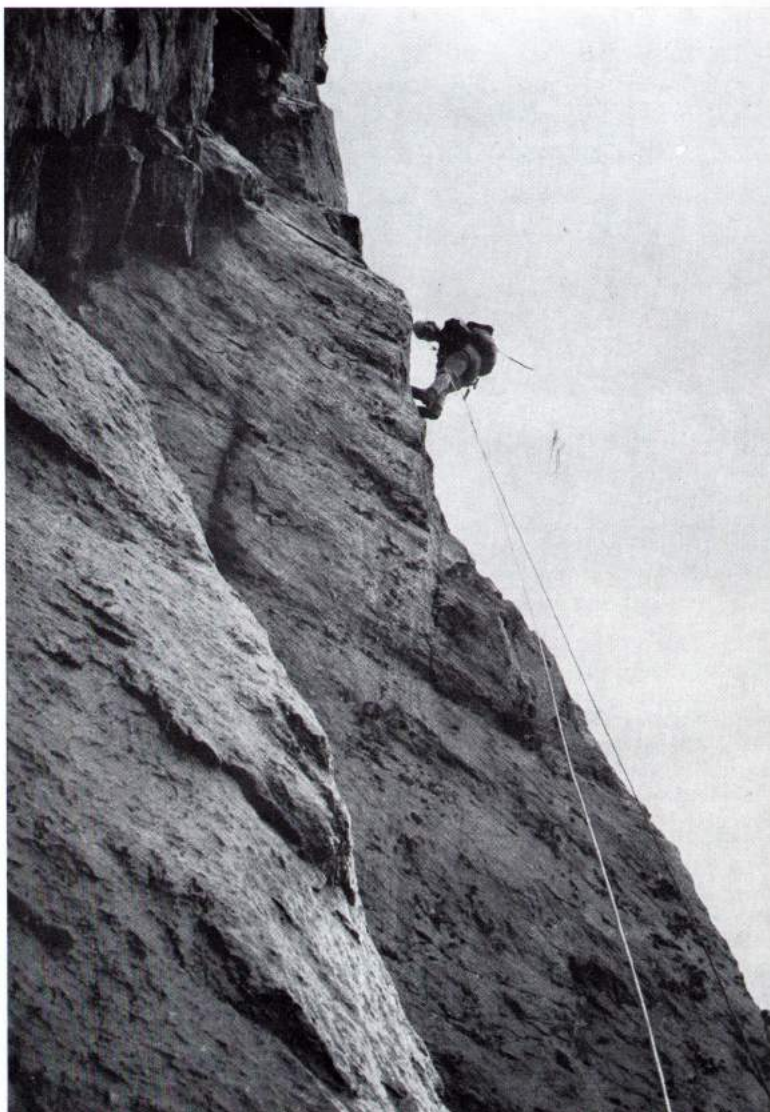
Soudain, jaillit l'éclair rouge d'une fusée de secours ; vite, liaison radio avec la base très inquiète. Non, le signal ne vient pas de nous, mais plus à droite, et plus bas : certainement les Allemands.

A l'aide d'une puissante lunette la cordée en difficulté est repérée par le camp de base. Les deux grimpeurs semblent rassemblés sur une vire. Ils agitent une marque rouge. La radio nous permet d'agir efficacement. Une rapide décision : Yves, Jérôme et Jean formeront une première cordée de secours. Midi, l'équipe quitte le camp de base... 20 heures, la jonction est faite avec

le blessé. Il souffre d'une mauvaise fracture de la cheville, l'attelle gonflable soulagera son mal. Gerhard Kuhlemann, sympathique barbu de 85 kilos, a fait une chute de 10 mètres, consécutive à la rupture d'un piton U.S. travaillé par le gel de l'hiver. Mais bien vite, avec l'aide de l'Allemand valide, la petite équipe entreprend la lente descente qui se poursuivra toute la nuit. Bondo Zophel, une éternelle pipe entre les dents, n'a perdu aucun instant, la première partie de la descente est équipée : c'est un dièdre légèrement surplombant.

Jérôme, solidement assuré, commence la descente ; sur son dos, sanglé dans le cacolet, Gerhard souffre en silence. Evidemment, la pluie qui n'a pas cessé depuis le début de l'opération redouble à cet instant.

DANS LE MUR MÉDIAN, DESCENTE VERS LA BASE





DANS LE MUR GRIS, AVANT LA ZONE DES SURPLOMBES

Plus bas, une traversée difficile oblige le blessé à une dure épreuve : dans ce passage horizontal, le cacolet est inefficace. Gerhard traverse seul, soutenu par deux compagnons, assuré à la corde par les deux autres. Il repose sur sa jambe valide, en s'aidant avec le genou du membre blessé. Au cours de cette épreuve, la douleur arrachera les seuls gémissements à cet homme dur.

Une partie de la nuit est nécessaire au franchissement de l'obstacle. Encore des descentes en rappel, encore la pluie, fidèle compagne ! Enfin, l'équipe rallie les névés qui séparent la véritable paroi de son socle. Au sommet de ce rognon haut de 200 mètres, elle retrouve des alpinistes anglais qui ont équipé cette dernière descente.

Il est 15 heures, un hélicoptère, exigé des autorités locales, emporte le blessé en sécurité vers l'hôpital.

L'opération de secours s'est déroulée sans incident, mais 600 mètres plus haut, l'intervention serait devenue périlleuse, voire problématique. L'équipe revenant du sauvetage est fatiguée et trempée ; la cordée dans le mur médian se trouve sans ravitaillement et mouillée ; aussi décidons-nous d'accorder un court répit à la montagne.

Plusieurs jours après l'accident, le soir même de sa sortie de l'hôpital, Gerhard et ses amis nous rendirent visite au camp. Sans dire un mot, après avoir posé des bouteilles sur la table, ils se sont assis parmi nous et nous passâmes la soirée autour d'un feu, buvant sec, parlant peu car nous ne nous comprenions guère.

Cela voulait dire merci ; cela voulait dire aussi que nous avions de nouveaux amis.

Dimanche 30 juillet : dans le mur médian.

Au matin nous nous retrouvons tous les cinq au bivouac I. Yves et Jean ont forcé l'accès au deuxième système de vires et sont redescendus tard dans la soirée prendre quelque repos au bivouac. Fatigués et trempés, ils ont grimpé quarante-huit heures sans arrêt, sauf durant l'obscurité totale, c'est-à-dire deux heures. Un « sans arrêt » d'ailleurs tout relatif, car l'un d'eux est resté bloqué douze heures sur son escarpolette pendant que, plus haut, son compagnon s'acharnait contre le roc. Le tout sous une petite pluie fine, très désagréable, qui nous est revenue après deux jours d'acalmie, ô ! combien appréciés...

Maintenant, les autres montent de lourds sacs pour établir le bivouac II avec le maximum de confort

au pied du troisième mur : Jérôme et moi devons rester là-haut afin de poursuivre la progression. La petite viro qui sépare les deux ressauts fournit juste assez de place pour y installer ce nouveau camp ; il marque la moitié de la course, mais les plus grosses difficultés sont au-dessus.

Mercredi 2 août : dans le troisième mur.

Enfin, nous sommes dans le mur gris ; le rocher, très clair, est bien compact, l'escalade souvent au delà de la verticale, avec, toutefois, de bons emplacements de relais après chaque difficile longueur.

Voici deux jours que nous sommes dans ce fameux ressaut. Chaque jour nous progressons un peu plus vers les grands toits. Chaque jour la petite tente rouge du bivouac II semble rentrer davantage à l'intérieur de la paroi. Depuis le bivouac nous venons de forcer six difficiles longueurs de 30 mètres. Le temps

est toujours très pluvieux, mais désormais les grandes avancées de la roche, en surplomb au-dessus de nos têtes, nous protègent.

Deux jours de rude combat — seulement 180 mètres gagnés — dans cette paroi vertigineuse, les jours ont une tout autre signification.

Jérôme bataille un passage délicat, 20 mètres au-dessus du relai. Au dessous de nous, neuf jours d'escalade effective nous séparent du monde animé. Pour sortir de ce piège, un fragile fil d'Ariane long de 900 mètres : les cordes fixes. Pour le second, c'est l'attente, en ces instants, souvent en ces heures, où, posé sur un replat, ou collé à même la paroi, si telle en est sa fantaisie, suspendu à quelque solide assurance, il laisse son esprit vagabonder à loisir suivant ses caprices, car la protection du leader, engagé plus haut, est une activité qui ne réclame guère d'attention à force d'habitude.

Alors, si le froid ou la pluie ne viennent pas transformer ces instants en une éprouvante attente, ce sont de longs moments de solitude magnifique, intense activité d'une vie intérieure, mais qui risquent d'être un instant troublés par quelque contemplation ou par les paroles ou les ordres du compagnon ; car, lui, il se bat plus haut dans un mauvais passage.

Parfois, par une petite lucarne, notre vie citadine nous apparaît lointaine, minuscule, mais d'une netteté impitoyable — le soi-même vu dans le mauvais sens de la lunette ; c'est d'ailleurs cette même lucarne qui s'entrouvre un instant, certains jours où, noyés dans la grisaille de la ville, s'illuminent alors certaines images de nos souvenirs de montagne.

Puis on se retrouve premier de cordée et des heures sans pareilles s'écoulent, intense activité où nulle

autre pensée n'a de place que celle de ces quelques mètres à gagner, cette fissure ou ce dièdre à vaincre. La chaude atmosphère du bivouac est différente encore : là, c'est le repos détendu de la cordée enfin réunie. Ce sont ces heures tranquilles et amicales passées à boire et à manger, ou à mener quelques rares conversations, souvent interrompues par de longs silences, car nous sommes encore ivres des difficiles empoignades de la journée.

Ce soir nous sommes sous les grands toits. Là, nous avons la chance de trouver une fissure qui semble parcourir et même, en partie, contourner les grandes avancées horizontales. Demain, Yves et Patrick nous relaieront pour tenter de forcer ce cheminement ; ils emporteront avec eux le plus possible de ravitaillement afin de ne plus avoir à redescendre avant le sommet, pendant que nous regagnerons la vallée, car nous avons soif et besoin de repos.

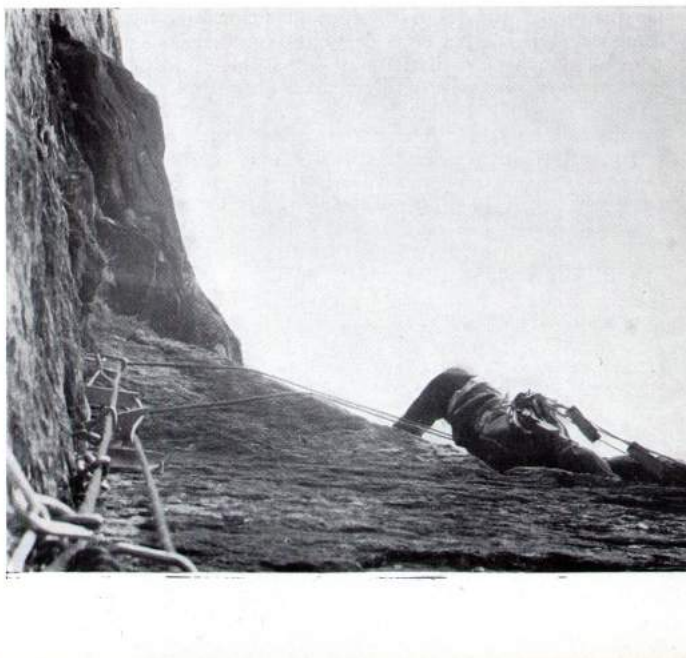
Samedi 5 août : dans les toits.

Depuis deux jours la cordée est dans les grands toits. Ceux-ci, heureusement bien fissurés, permettent un pitonnage qui ne pose pas trop de problème. Toutefois il faut progresser sous la menace constante d'immenses blocs mal scellés, la rupture de ces équilibres peut être provoquée par l'enfoncement d'un piton ; certains blocs, en faisant entendre de petits craquements, occasionnent de fortes émotions aux deux grimpeurs. Pour franchir cet obstacle, le cheminement suit un dièdre fissuré, véritable escalier inversé, il évite ainsi les trop grandes avancées horizontales. Ce furent trois difficiles longueurs, parcourues dans une exposition sans pareille. Elles laisseront quelques souvenirs à Yves et Patrick !...

Ceux-ci durent subir un bivouac au milieu de ces difficultés, accrochés sur leur escarpolette et séparés

DÉBUT DES GRANDS TOITS

A NOUVEAU DANS LE MUR MÉDIAN





REMONTÉE AU JUMAR DANS LA ZONE DES SURPLOMBES

par une longueur de corde ; pouvant à peine communiquer à cause du mauvais temps qui s'est installé une fois encore, car, bien entendu, pour eux, il n'est plus question désormais de redescendre au bivouac II que nous avons commencé à démonter : il ne reste plus, là-haut, que la tente et le strict nécessaire de sécurité.

Ce matin, les prévisions météo sont mauvaises, au camp, la pluie n'a pas cessé de toute la nuit, la tempête est annoncée et il nous est impossible d'entrer en liaison radio avec nos camarades qui ont dû atteindre la partie terminale. Nous devons partir ce matin pour les rejoindre et sortir tous ensemble vers le sommet, mais avec la tempête et sans leur avis, nous préférons attendre. Là-haut, ils doivent avoir passé une mauvaise nuit, suspendus dans les toits ! Midi, la tempête fait rage, le plafond de nuages descend presque au ras du pierrier. De temps en temps une déchirure du rideau laisse apparaître les faces transformées en cataractes. Maintenant il doit neiger plus haut.

Au camp, c'est l'attente un peu inquiète. Enfin, vers 17 heures, contact radio. Pour Yves et Patrick, très éprouvés, c'est la retraite. Au-dessus des toits, le rocher n'est plus que cascade ; la grêle se transforme en neige. Heureusement, ils ont réussi à redescendre les grands toits avec l'aide des cordes fixes et ont rejoint le bivouac II. Leur poste radio noyé, ils ont dû attendre de pouvoir utiliser la radio de secours du bivouac pour nous rendre compte des événements. Ils ne sont de retour au camp que tard dans la nuit

et dans un état lamentable, épuisés par la descente : 900 mètres de rappels successifs avec les quelques péripéties habituelles à ce genre de retraite improvisée.

Dimanche 6 août.

Nos deux amis doivent reprendre des forces ; sur leurs mains sont inscrites les marques de leur difficile retraite. Pour les autres c'est la préparation d'un nouvel assaut demain matin, celui-là certainement définitif car les prévisions météo sont excellentes et dès la soirée les nuages s'évanouissent, laissant apparaître nos deux horizons : le ciel et la paroi. A l'aube, Jean et moi partirons pour franchir le ressaut terminal.

Mercredi 9 août : le mur terminal.

D'emblée la partie terminale se révèle un obstacle beaucoup plus difficile que nous ne l'avions prévu : pendules, surplombs, dalles compactes, fissures bouchées.

A la limite atteinte par nos amis, nous avons trouvé les restes de leur difficile retraite : un duvet trempé et entièrement déchiré qu'il fallut abandonner, des vestes-duvet qui ne sont plus que de lamentables guenilles, également gorgées d'eau.

La remontée des cordes fixes dans les toits dépassa tout ce que nous pouvions imaginer : remonter 50 mètres en fil d'araignées, à l'aide des poignées jumar, éloigné de plusieurs mètres de la paroi, avec, au dessous, 1 000 mètres de vide, arriver à un relai sur étriers puis penduler encore sur 5 mètres, enfin remonter une nouvelle longueur de corde.

Hier, nous n'avons progressé que de 80 mètres. Encore un bivouac sur escarpolette, longues heures passées à attendre demain, car le froid est rigoureux, mais le ciel est pur. C'est la première période de beau temps après deux semaines de pluie presque incessante. Par sécurité, nous avons laissé les toits équipés de leurs pitons, mais plus haut nous manquons de matériel, surtout de gros pitons, car les fissures sont souvent larges.

A l'aube, nouveau départ. Un instant, un rayon du soleil levant nous effleure, mais bien vite nous nous retrouvons plongés dans l'austère exposition nord. L'escalade est moins raide, et nous pouvons parcourir quelques longueurs d'escalade libre, les premières depuis bien longtemps. Nos amis nous auront certainement rejoints dans la soirée et nous voudrions atteindre avant la nuit le pied d'un dernier petit ressaut afin d'être au sommet demain.

Le franchissement d'un dernier dièdre d'artificiel commode est abandonné pour une traversée hasardeuse et exposée de 60 mètres sur la droite, mais qui nous permet de rejoindre un cheminement d'escalade libre, ne nécessitant qu'un nombre très restreint de pitons. Et désormais, rien ne peut plus nous arrêter.

20 heures : nous installons un bivouac sur une petite plateforme. Nos trois compagnons, chargés de lourds sacs, nous rejoignent après dix-huit heures de grimpe pendant lesquelles ils auront gravi une dénivellation de 1 100 mètres. La nuit, confortablement installés dans nos tentes, réchauffés par les boissons que nos amis nous ont préparées, nous savourons les derniers instants d'une belle aventure : cent mètres de cheminement facile sous le sommet.

Considérations générales.

L'ascension, constamment de difficulté soutenue, avec quelques courts passages extrêmes, garda jusqu'au sommet son issue incertaine.

La progression, d'escalade essentiellement artificielle, fut très perturbée par les conditions climatiques, sauf durant les quatre derniers jours de l'assaut final ; la côte ouest de la Norvège connue durant notre séjour un climat très défavorable.

L'ascension nous occasionna douze jours d'escalade effective se répartissant approximativement ainsi : mur I, deux jours et demi ; mur II, trois jours et demi ; mur III et les toits, trois jours et demi ; partie terminale, deux jours et demi.

La répétition de l'itinéraire doit pouvoir s'envisager sur les bases de cinq à six jours d'escalade au bénéfice d'un temps correct et de l'équipement resté en place.

Il faudra tenir compte de l'aspect particulier de ces montagnes de faible altitude, mais subissant de fortes perturbations climatiques.

La technique des cordes fixes — suffisamment dépouillée pour être séduisante — semble être la méthode la plus efficace pour surmonter ce genre d'obstacle lors d'une première ascension. En pratique, l'assurance systématique au cours des remontées à l'aide des poignées jumar nous a permis de limiter favorablement la part de risque que l'on ne peut éviter dans l'utilisation de cette technique, celle-ci restera d'un emploi exceptionnel adapté à des objectifs particuliers.

Pour la progression artificielle, nous avons utilisé presque uniquement des pitons en acier spécial américain, indispensables auxiliaires pour les grandes ascensions granitiques.

L'alimentation en course a été prévue pour supporter trois semaines d'efforts ; les aliments conditionnés, de haute valeur calorifique, nous ont donné entière satisfaction. Le seul problème reste, malgré la pluie, le ravitaillement en eau, avec, bien sûr, le transport des vivres et du matériel que nous avons résolu en transportant des sacs de quinze à vingt kilos, déjà bien lourds à hisser ou à porter.

Dans ces massifs montagneux éloignés où le secours en paroi n'est pas encore organisé, il est indispensable de posséder un équipement de sauvetage sommaire, mais suffisant : cacolet, attelles gonflables, jumars et quelques cordes réservées pour cet usage.

DE PROFIL : PARTIE SUPÉRIEURE DU TROLLRYGGEN.
N'EST VISIBLE QUE LA MOITIÉ DE LA FACE.
AU FOND, LA VALLÉE DE ROMSDAL.

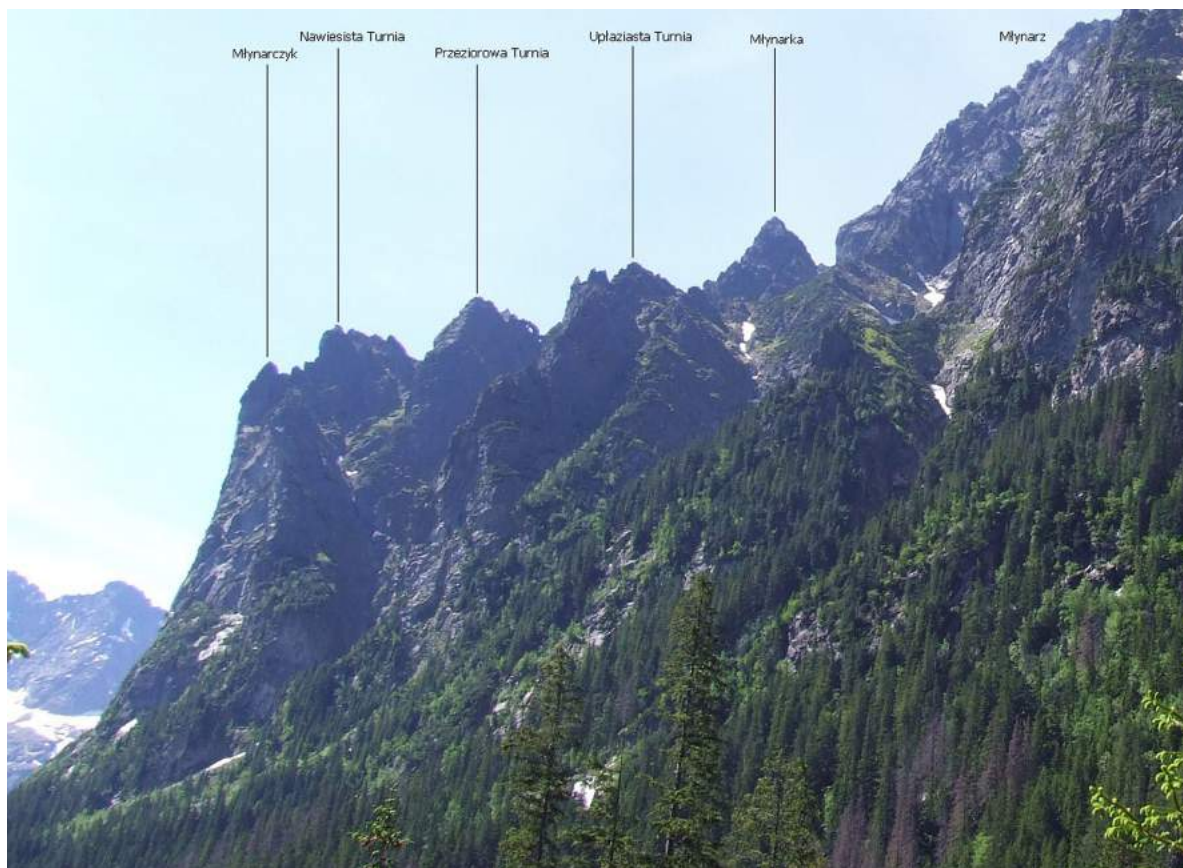


50 rocznica 1. zimowego przejścia drogi Kowalewskiego i Pałuchy na Młynarczyku

W tym roku mamy też 50 rocznicę 1. przejścia zimowego drogi Kowalewskiego i Pałuchy na wschodniej ścianie Młynarczyka. Poprowadzona dwa lata wcześniej, zaraz została uznana za jedną z najtrudniejszych dróg „klasycznych” (czyli bez haczenia) w Tatrach. Obozując w 1967 roku przez miesiąc na Polanie pod Wysoką, włączyliśmy ją oczywiście do naszego wykazu przejść. W następnym roku Tadek Piotrowski wymyślił, żeby pójść tam jeszcze raz zimą.

Lista znanych mi przejść tej drogi:

- 1. przejście:** 12.09.1966 Ryszard Kowalewski, Zygmunt Pałucha;
- 2. przejście:** 3.09.1967 Jan Kielkowski, Tadeusz Piotrowski, Adam Uznański;
- 3. przejście (1.p. zimowe):** 9-10.03.1968 Jan Kielkowski, Tadeusz Piotrowski, Zdzisław Prusisz, Kazimierz Jacek Rusiecki;
- 4. przejście:** 24.07.1969 Andrzej Mierzejewski, J. Pszon;
- 5. przejście:** 07.1969 Jerzy Łabęcki, Ryszard Malczyk i taternik z Węgier;
- 6. przejście (1.p. kobiece):** 24.09.1969 Michał Gabriel, Andrzej Gierych, Wojciech Kurtyka, Bożena Szyszko (-Momatiuk);
- 7. przejście:** 7.07.1970 Janusz Kurczab, Marian Piekutowski, Janusz Skorek, Marek Zygmąński;
- 8. przejście:** 14.07.1970 Edward Osada, Andrzej Wilusz;
- 9. przejście:** 11.09.1970 Mirosław Krawczyk, Andrzej Skwirczyński;



Wschodnia grań Młynarza zakończona zerwą Młynarczyka. W linii spadku Nawieszistej Turni widoczny żleb, którym schodziliśmy zimą.

Stężyca dn. 14. V. 67.

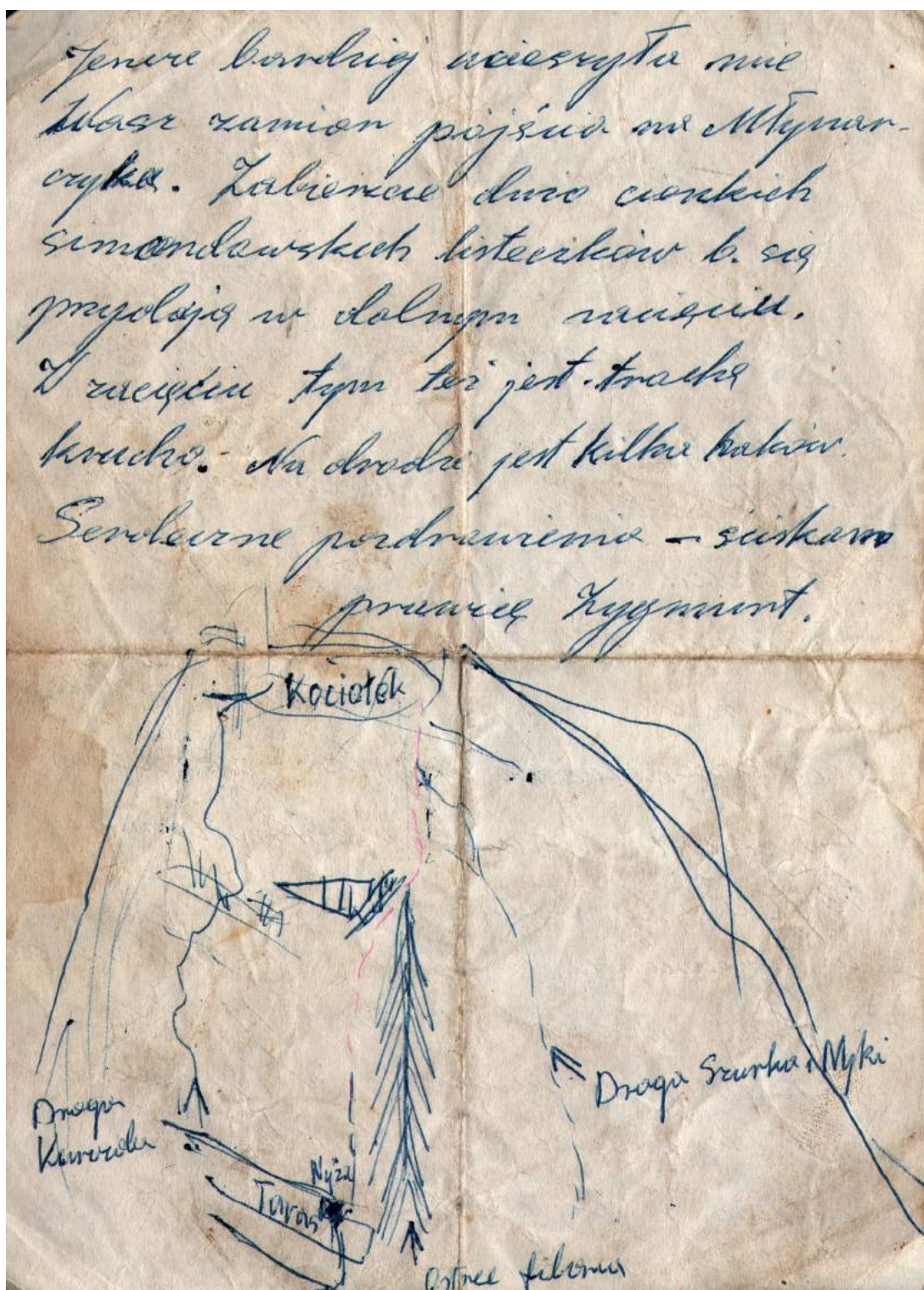
Pancuś!

Bardzo cięszę że wystąpiliście z tą propozycją i chętnie przystąpię do waszego ~~hotelem~~ ~~propozycję~~ me czwartego Pysitka Kowalewskiego.

W związku z tym wytniemy ^{się} z szeregu problemów ^{typu} co i jak robić.

Cenną rzecz w tym wypadku będzie centralne położenie Pysitka. Jego adres Warszawa Krakowskie Przedmieście 58/60. Zgodzam się również na wypisanie w treści w jednym miejscu. Ja będę obcisnąć ok. 11 w M. Oku ostatecznie zawiadomię. W tym okresie w M. Oku będzie Pysiek. Chciałbym nadzieję że się spotkamy i ustalemy ostatecznie co robimy.

Z kawiorka wprost w górę i jedynym
z kominiarskich naciąg suw grun
grunicy kawiorka w górę i stąd
w stos w prawo ^{w górę} Strawers I w
Białowodzka przetorka
Z przetorki zejść ~~nie~~ zlebem
z ~~drumna~~ trenu zardami.
Zwaga: mebiey drogi na odliczeniu
między 5 a 6 stanowiskiem nie
jest dokładny.



10. przejście: 30.08.1971 B. Mazurkiewicz, Jacek Jasiński;

?. przejście: 4.07.1972 Andrzej Czok, Piotr Czok;

?. przejście: 9.08.1972 Sławomir Andrzejewski, A. Posiewnik;

?. przejście: 14.08.1972 Andrzej Machnik, Waław Sonelski.

?.przejście: 9.08.1973 Wojciech Myszkowski, Andrzej Pawlik, Ryszard Urbanik;

?. przejście (2.p.z. zarazem 1.p.z. kobiece): 11-13.02.1975 Maria Bieniek, Jerzy Łabęcki, Jerzy Zająć;

?. przejście zimowe: 2-3.02.1991 P. Mieszkowski, Barbara Tarnawska.

Jak zwykle prosimy o dalsze uzupełnienia.

Kilka moich osobistych wspomnień z przejścia zimowego:

Gdy w zapadającym zmroku drzemałem (otulony kurtką puchową) na półwisiącym stanowisku po siódmym wyciągu, zbudziły mnie wołania z góry. Otóż Dżek i Tadek nie mogli znaleźć wyjścia ze znajdującej się powyżej depresji i Tadek przypomniał sobie, że podczas letniego przejścia ja prowadziłem ten wyciąg, więc kazał mi do nich dojsć i powtórzyć to teraz zimą. A wyciąg ten wymagał wyjścia z depresji na ograniczającą ją z prawej strony ściankę i przetrawersowania nią około 10 metrów w prawo, na dobrą półkę. O ile latem nie sprawiało to szczególnych trudności, to zimą, zwłaszcza w ciemnościach i tylko przy świetle czołówki, nie było łatwo, ale się (jeszcze raz) udało i dalej przez przewieszzone kosówki wyszliśmy z Dżekiem na wygodną półkę biwakową ponad depresją. Następna niedogodność przytrafiła nam się podczas próby ściągnięcia plecaka Dżeka, który zaplątał się w przewieszonych kosówkach poniżej i nie dało się go wyciągnąć. Jedną kurtką puchową (którą miałem na sobie) próbowaliśmy ogrzewać się na zmianę (Tadek biwakował wisząco jeden wyciąg niżej, a Zdzich wygodniej dwa wyciągi niżej); gdzieś tak po połowie nocy Dżek miał w końcu dosyć tego marznięcia na zmianę i zdecydował się zejść po plecak. Resztę biwaku spędziliśmy w miarę komfortowo, każdy otulony w swoją kurtkę.

Wspomnienie drugie. Następnego dnia, bez wchodzenia na wierzchołek Młynarczyka (ciekawe, czy w ogóle ktoś był na nim zimą?), przetrawersowaliśmy do skalnej ścianki w samym środku lejkowatych pól śnieżnych pod granią biegnącą od Młynarczyka do Wielkiego Młynarza. W ściankę tę wbiłmy hak i zjechaliśmy z niego na linie (po śniegu) cały wyciąg, aż nad skraj przewieszzonej ściany, którą te śnieżne pola obrywają się do żlebu niżej. Tutaj wbity został następny hak zjazdowy i z niego zjeżdżaliśmy kolejno przez tę ścianę: pierwszy Tadek, za nim Zdzich, a następnie ja. Gdy byłem w połowie przewieszzonego zjazdu, przeleciała nade mną lawina, która wymiotła całe znajdujące się wyżej pola śnieżne; Dżekowi także nic się nie stało, bo był przypięty do haka zjazdowego. Szczęśliwym trafem Tadek i Zdzich znajdowali się w tym czasie niżej, już poza żlebem, bo szukali z lewej strony obejścia progu, którym żleb obrywał się niżej.

Wspomnienie trzecie, a właściwie zupełny jego brak. Otóż na załączonym topo, sporządzonym przez autorów 1. przejścia, pomiędzy stanowiskami 6 i 7 miała być rysa ze „starą igłą”, a ja tej igły nie mogę sobie przypomnieć. A powinienem, ponieważ prowadziłem te wyciągi zarówno latem (z trawersami), jak i zimą (wprost przez „tę” igłę). Narzuca się więc pytanie, skąd tam się wzięła ta igła? Wszak 1. przejście drogi zrobili autorzy tego topo, a o żadnej wcześniejszej próbie nikt w środowisku nie słyszał. Ponadto igła świadczyłaby o próbie zimowej. Jedyna wcześniejsza droga na ścianie (*Droga Nyki*), poprowadzona w 1960 roku, biegnie chyba dość daleko na prawo, ale właśnie na tej wysokości dość długimi trawersami łączy się z naszą drogą. Jedynie w VI tomie przewodnika Puškáša jest to przedstawione prawidłowo na zbiorowej fotografii. Natomiast inne przewodniki i toposy raczej nie korelują wzajemnego przebiegu tych dróg. Tak więc „ta igła” byłaby pozostawiona przez pierwszych zdobywców ściany w 1960 roku. Jednak, jak mówi Józek Nyka, nie mogła to być igła (bo takiej na letnią wspinaczkę przecież by nie zabrali), lecz zapewne zwyczajny wycior z kółkiem, który wbity, mógł ją mocno przypominać. A swoją drogą warto by było i o tym pierwszym przejściu ściany nieco obszerniej przypomnieć.

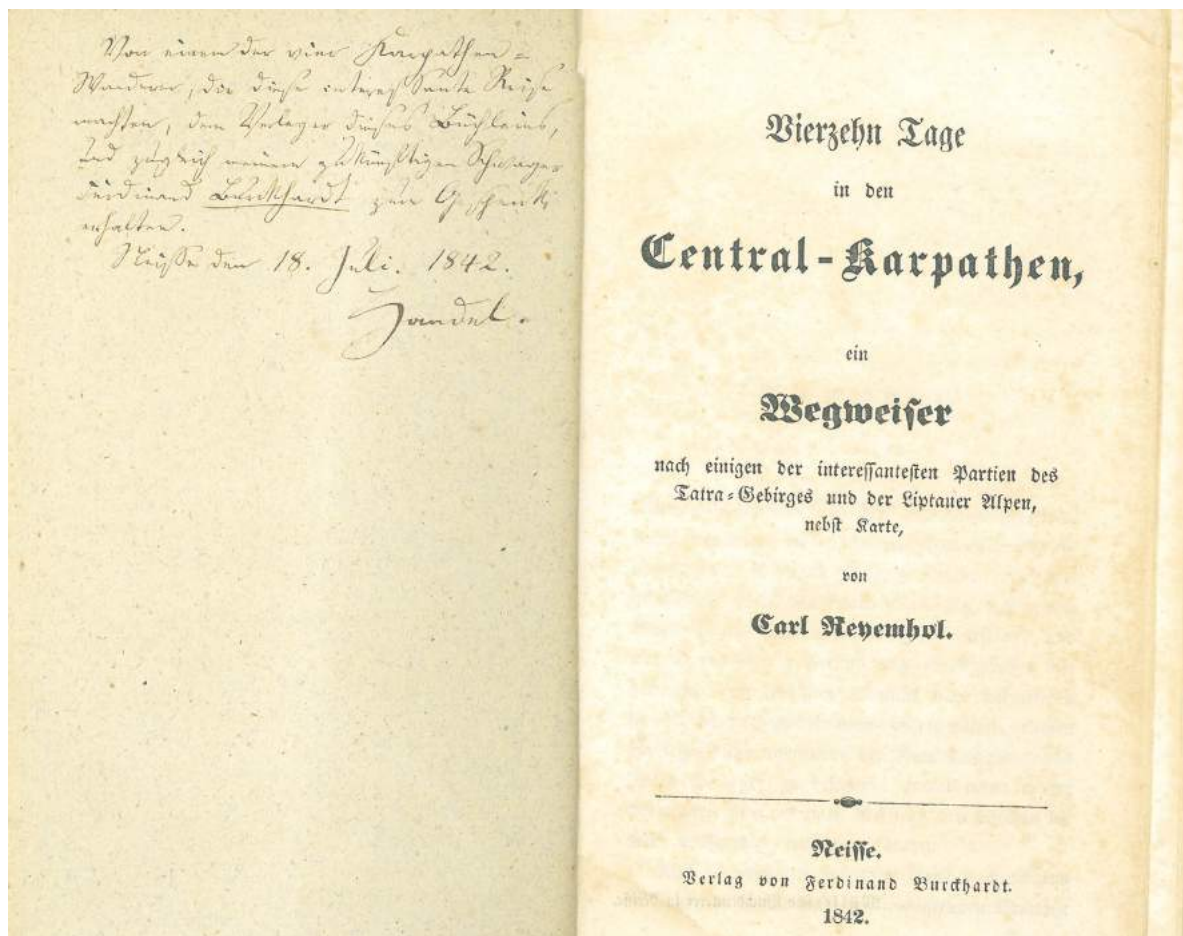
Jan Kielkowski

GÓRY I KULTURA

175 lat przewodnika Lohmeyera

W zeszłym roku minęło 175 lat od wydania *Vierzehn Tage in den Central-Karpathen, ein Wegweiser nach einigen der interessantesten Partien des Tatra – Gebirges und der Liptauer Alpen, nebst Karte* (Nysa 1842), powszechnie uważanego za pierwszy przewodnik turystyczny po Tatrach. Autorem niewielkiej książeczki był Carl Lohmeyer, który opublikował ją pod pseudonimem Reyemhol, będącym anagramem jego nazwiska. Przewodnik wydany został w poręcznym formacie i zawierał 80 stron, dodatkowo dołączona była mapa Tatr w skali około 1:210 000.

Jakkolwiek większość badaczy literatury tatrzańskiej skłania się do przyznania pierwszeństwa przewodnikowi Lohmeyera, warto sobie jednak uzmysłwić, że już w latach 1822–23 (a więc 20 lat przed ukazaniem się *Vierzehn Tage*) ukazał się obszerny, dwutomowy przewodnik Rudolfa E. von Jenny zatytułowany *Handbuch für Reisende in dem österreichischen Kaiserstaate mit mehreren Haupttrouten angraenzenden Laender...* [Wiedeń, wyd. Anton Doll].



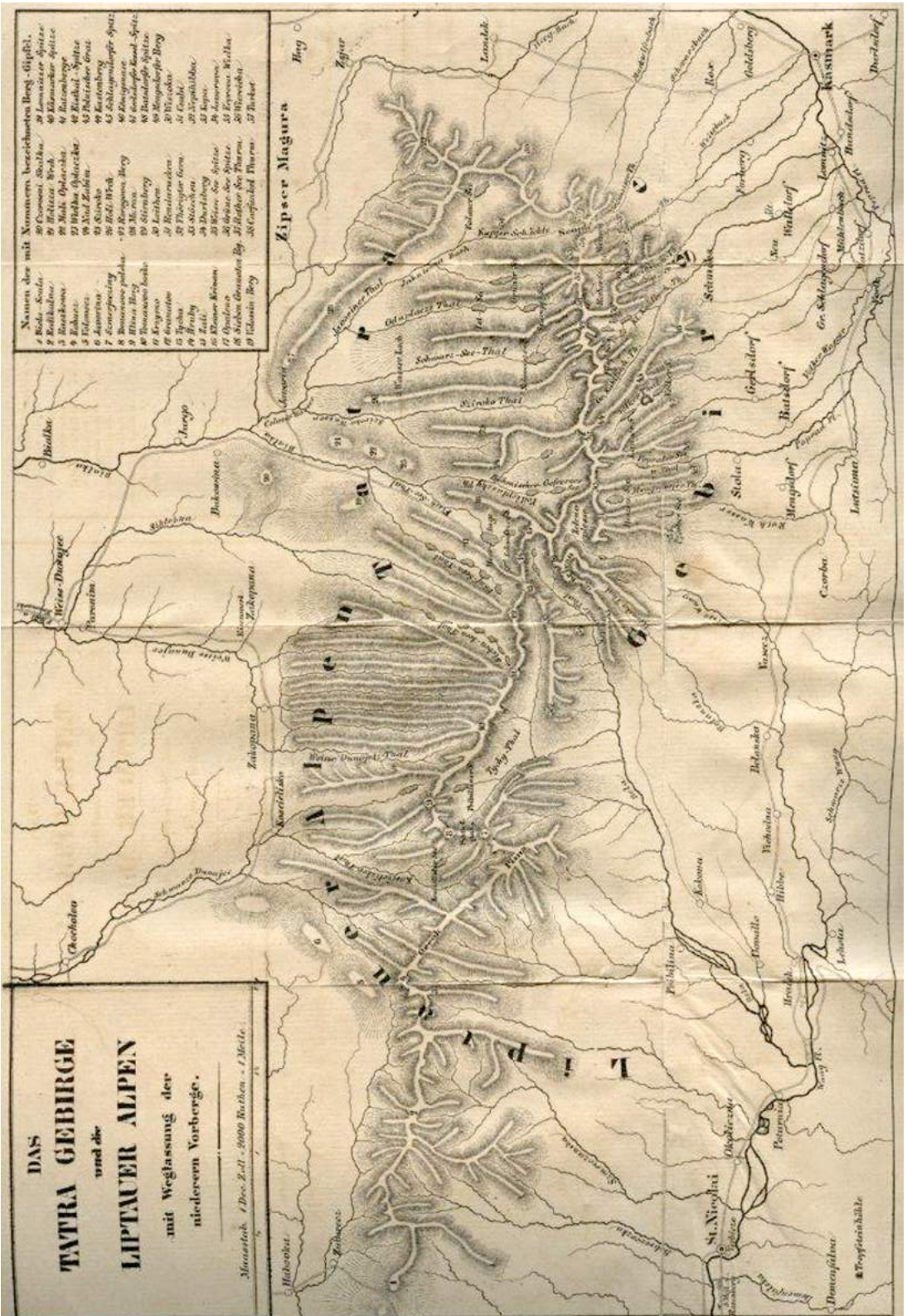
Von einem der viele Bergkletterer =
 Händlern, die diese wichtige Karte kaufen
 müssen, dem Herausgeber dieses Leitfadens,
 und zugleich meinem zukünftigen Verleger
 Herrn Ludwig Staszica zur Ansicht
 aufgeben.
 Kräfte den 18. Juli. 1842.
 J. Nyka.

O jego popularności świadczą kolejne edycje (1829) i wreszcie gruntownie przerobiona, trzytomowa wersja opracowana przez Adolfa Schmidla (1834–36). Partie przewodnika poświęcone Tatom treściwie omówił nieustrudzony Józef Nyka w artykule *Tatry – jubileusze przewodników* w „Głosie Seniora” (nr 9/2013), zwracając uwagę m.in. na bardzo precyzyjne opisy i zwięzłość stylu.

Przewodnik po Tatrach C. Lohmeyera został gruntownie omówiony przez Józefa Szaflarskiego. I tak na łamach „Zarania Śląskiego” nr 4/1959 ukazał się artykuł *Najstarszy przewodnik po Tatrach wydany w Nysie*, a rozszerzona wersja tego tekstu została opublikowana, jako XXII rozdział *Poznania Tatr* (Warszawa 1972). Dodajmy, że Ludwik Pietrusiński, przygotowując się w 1844 roku do „przelotu” z Krakowa na Łomnicę, zakupił w księgarni oprócz *Ziemioródtwa Karpat* Staszica właśnie przewodnik Lohmeyera za 1 złoty reński. Dedykacja autora w moim egzemplarzu świadczy, że przewodnik ukazał się w pierwszej połowie 1842 roku.

Duży niedosyt pozostawiają ustalenia Szaflarskiego dotyczące autora pierwszego, samodzielnego przewodnika po Tatrach. W 2001 roku korespondowałem z niestety nieżyjącym już Wacławem Romińskim, kustoszem muzeum w Nysie. Okazało się, że zarówno w Nysie, jak i we Wrocławiu zachowało się sporo materiałów źródłowych, które pozwalają na w miarę dokładną rekonstrukcję życiorysu Carla Lohmeyera. Efekty kwerendy archiwalno-bibliotecznej Romiński zawarł w artykule *Przyczynek do biografii autora pierwszego przewodnika turystycznego po Tatrach*, który ukazał się w „Kwartalniku Opolskim” (R. XXIV:1978, nr 2). Z uwagi na niewielki zasięg tego czasopisma, pozwolę sobie na przytoczenie za Romińskim paru istotnych informacji.

Carl Lohmeyer urodził się 3 sierpnia 1799 roku w Morągu. W 1830 roku założył Aptekę pod Lwem w Nysie a wykształcenie i prestiż, jakim niewątpliwie się cieszył, spowodowały, że został członkiem-założycielem Wissenschaftliche Gesellschaft Philomatie in Neisse, towarzystwa naukowego powstałego w 1838 roku. Sprawozdania nyskiego towarzystwa dowodnie świadczą o dużej aktywności autora pierwszego przewodnika po Tatrach, która przejawiała się w referatach i demonstracji rozmaitych doświadczeń. Oprócz farmacji żywo interesowały go zagadnienia z dziedziny fizyki (elektromagnetyzm, optyka). Zapewne bliskość sudeckich



uzdrowisk spowodowała spore zainteresowanie Lohmeyera właściwościami leczniczymi wody. Skonstruował również telegraf elektromagnetyczny, będący sporym ulepszeniem pierwowzoru zaprojektowanego przez K. Gaussa i Wilhelma Webera. Po przeprowadzce do Wrocławia Carl Lohmeyer poświęcił się wyłącznie botanice i zaprojektował pierwsze na świecie rozkładane modele kwiatów. Już ten pobieżny przegląd dokonał upewnia nas, jak niepospolitym był człowiekiem. Zmarł we Wrocławiu 3 sierpnia 1873 roku, dokładnie w dniu swoich urodzin.

Marek Maluda

WEGA SUPLEMENT

Tom II

Kosmos, Pik (5940 m) WEGA t. II, s. 445, sprostowanie i uzupełnienie

Próba wejścia: 12.08.1998 Igor Korsunow i Walerij Bojo dotarli do wysokości ok. 5800 m, skąd spadli z lawiną, w której Korsunow zginął.

Tom III

Murań (WEGA t. III, s. 520), sprostowanie

1. wejście: 1717 István (Stefan) Berzeviczy.

Pięciu Stawów Spiskich, Dolina. Dolina po południowej stronie Tatr Wysokich, stanowiąca górne piętro Doliny Małej Zimnej Wody. Dawniej stawy te nazywane bywały także Pięcioroma Stawami Węgierskimi. Największe z nich to Wielki Staw Spiski i Pośredni Staw Spiski. Nad tym ostatnim stoi Schronisko Téryego. JKi

Tom VI

Abrego Sanesteban, Mari (WEGA t. II, s. 4) uzupełnienie

Zmarł 10.04.2018

Amsterdamski, Piotr (WEGA t. VI, s. 19), uzupełnienie

Urodzony 10.11.1955.

Librowski, Stanisław Jerzy Jan (22.12.1844 Kraków – 1881), studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, dr praw, adiunkt sądowy. W taternictwie zapisał się udziałem w pierwszym wejściu szczytowym na główny wierzchołek Świnicy w 1867 roku. JKi

Livanos, Georges (t. VI, str. 461), uzupełnienie: alpinista francuski zmarł 21 maja 2004 roku. MKi

Livanos, Sonia (t. VI, str. 461), uzupełnienie: alpinistka francuska zmarła 15.04.2018 w Marsylii. MKi

Lohmeyer, Carl (Karl) Leopold (03.08.1799 Morąg – 03.08.1873 Wrocław), niemiecki taternik oraz turysta górski; z zawodu farmaceuta, właściciel apteki w Nysie. W latach 1839 i 1841 chodził po Tatrach. Był w Dolinie Kościeliskiej, nad Morskim Okiem i w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Odbywał również wycieczki po południowej stronie Tatr: do doliny Przednich Koperszadów, Doliny Łomnickiej, Zimnej Wody, Doliny Staroleśnej czy Doliny Wielickiej. W sierpniu 1841 wszedł na Łomnicę, co opisał i przedstawił na zebraniu Towarzystwa Naukowego Filomatów w Nysie. Pod pseudonimem Reyemhol (anagram jego nazwiska) wydał w 1842 opis swoich wycieczek po Tatrach pt. *Vierzehn Tage in den Central-Karpathen, ein Wegweiser nach einigen der interessantesten Partien des Tatra-Gebirges und der Liptauer Alpen*. Książka ta, zawierająca także mapę Tatr, jest uznawana za jeden z pierwszych druko-



wanych przewodników turystycznych po Tatrach. L. prowadził również działalność naukową. Interesował się fizyką i botaniką; m.in. wykonał liczne botaniczne modele dydaktyczne. MKi

Matuszewska, Ewa (25.11.1945 Warszawa – 28.03.2018 Zakopane), turystka górską, dziennikarka, autorka książek o tematyce górskiej; absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1998 roku mieszkała w Zakopanem, m.in. w latach 2007–2013 pracowała w Urzędzie Miasta Zakopane jako rzeczniczka prasowa. Współautorka i autorka książek o Wandzie Rutkiewicz (*Na jednej linie, Karawana do marzeń, Uciec jak najwyżej. Niedokończony życie Wandy Rutkiewicz*) i Andrzeja Zawadzie – *Lider. Górkim szlakiem Andrzeja Zawady* i wydanie uzupełnione *Lider. Górkim szlakiem Andrzeja Zawady raz jeszcze*. MKi



Revol, Elisabeth Marie Bernadette, sprostowanie: na Makalu Elisabeth Revol dotarła do wysokości 8445 m. MKi

Słowakiewicz, Wojciech (ur. 30.08.1970 w Krakowie), „Mysza“, polski wspinacz skałkowy i taternik. Zaczął się wspinąć w 1987 roku. Jest autorem oraz współautorem kilkudziesięciu nowych dróg na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej (m.in. *Taniec Pająka VI.5*). Współautor odhaczeń dróg tatrzańskich na Zamarłej Turni (*Sayonara*), Kościelcu (*Okapy Jungera*) oraz Kazalnicy Mięguszowieckiej (Filar Kazalnicy). Autor i redaktor prasy wspinaczkowej. W latach 1990–1991 wydawał „Brytana”, współpracował też z „Górami”. W 1999 wspólnie z Piotrem Turkotem założył serwis internetowy wspinanie.pl. Wydawca przewodników wspinaczkowych po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Inicjator i współorganizator Krakowskiego Festiwalu Górskiego (od roku 2010 dyrektor). MKi

Prosimy o uzupełnienia:

Anczyc, Władysław Marcei (T.VI, s.20): brak portretu.

Andenmatten, Franz Josef (t.VI, s.20): brak portretu oraz pełnych dat urodzenia i zgonu.

Anderl, Michael (t.VI, s.21): brak daty i miejsca zgonu.

Anderson, David (t.VII, s.73): brak miejsca urodzenia.

Anderson, Donald W. (t.VI, s.21): brak pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.

Anderson, George G. (t.VI, s.21): brak pełnej daty urodzenia.

Anderson, John (Andy) (t.VI, s.21): brak pełnych dat i miejsc urodzenia i zgonu.

Anderson, John Stafford (t.VI, s.21): brak portretu oraz pełnej daty i miejsca urodzenia.

Anderson, Lloyd A. (t.VI, s.21) brak pełnej daty i miejsca urodzenia oraz miejsca zgonu.

Anderson, Vincent (t.VI, s.22) brak pełnej daty i miejsca urodzenia.

Anderwald-Benko, Benjamin (t.VI, s.22): brak portretu oraz pełnej daty zgonu.

Andrade, Antonio Freire de (t.VI, s.22): brak pełnej daty urodzenia.

Andráši, Július (jun.) (t.VI, s.23): brak portretu i miejsca zgonu.

Andráši, Ladislav (t.VI, s.23): brak pełnej daty i miejsca urodzenia.

Andrássy, Tivadar (t.VI, s.23): brak portretu.

Andrée, Salomon August (t.VI, s.23): brak pełnej daty i miejsca zgonu.

Andreis, Emanuele (t.VI, s.23); brak pełnych dat oraz miejsc urodzenia i zgonu.

Andreolli, Marcello (z.VII, s.74): brak portretu



ERNST PLATZ
1885